



POZNAŃSKA
SPÓŁDZIELNIA
MIESZKANIOWA

PROTOKÓŁ

k u l t u r a l n y



Nr 89 Rok XXVI ISSN 1506-1833 Poznań 2024 Kwartalnik

Andrzej Babiński
5 I 1938 - 14 V 1984



Andrzej Babiński – laureat VI Turnieju Jednego wiersza „O nagrodę Zielonej Wazy”, Pałac Kultury (Zamek), 1976. W tle – organizator – J.G.

SERWIS NIEBA W ODBLASKACH

Edwardowi Stachurze

AZJO stacyj benzynowych pod lasem,
(benzyna) Alaska
Alaska złota, Alaska chodników
a na migi migotliwa jaskółka stołeczna
Jaskółko -
z kobiecym skrzydłem i szczegółem
twój świr objawia się i zlustrza
ty woda,
ty jak grota jasna – ja chmurny już chmurę
mam za zbytek
...słysząc gotycko sklepiony pantofelków
stukot
na hymn nawlekasz każdy szept i szelest
- boska
Gdzie są arki Noego gołębi
które pod skrzydła biorą grzmot
i grzmią?

WRRR

Ja spokojnie siadam a ty na mnie
warczysz
suko ziemio
żem się nurzał, staczał, w podziemia zapadał
a dobroć Twoja znam, Ja będę posłem
w sejmie
jej trudne sprawy załatwiał
a dla niej
w małym gaju pod drzewkiem
ulicznym nocował
Będę powracał a ona znów na mnie będzie
warczała
ta suka – ziemia
...
leż mi pod stopą przydeptana...!

DROGI REDAKTORZE

Pan może nie rozumie. Mnie do życia po-
wołała suka. Tak, suka. Podczas wojny, gdy byłem
maleńki, jedna chora suka o zmierzchu przeraźliwie
wyła. Ciemność była straszna, jak bywała na biało-
stoczczyźnie, i jakie było zacofanie tych wiosek, ale
nic straszliwszego nie mogło być od wycia tej suki.
Od razu zrozumiałem: trudna jest ziemia. I nikt
z dorosłych jej nie rozumiał, oprócz mnie jednego.
Ta suka, która była świadkiem wiosek spalonych;
w wyciu opłakiwała dramaty II wojny światowej:
pożary, strzelaniny, bombardowania; bo wyć za-
czyniała w zachód złowieszczy słońca. Ouuu...

Na lekcji religii w II klasie myślałem: „Jak
taka jedna suka jest to Boga nie ma, ona więcej
cierpiała niż Bóg na krzyżu”. Ona wywyła całą ludz-
kość, przeżyła koniec świata, niby samiuteńka, by
tak nieuczyniła zawodzić. Wyciem do drzew przypar-
ła ciemność, przeraziła całą okolicę. Ludzie bali się
żyć pod niebem tej wyjącej, światowej suki. Nie
mogli położyć się spać: gromadzili się w jeden
dom, odmawiali pacierze, a słońce jakby zaszło
i nigdy nie miało już wzejść, i już nigdy nie miał
zapiać kur, zakwitnąć przed oknem nasturcja, na-
gietek. Ludzie co przeżyli to wycie nie mogli stojąc
na ziemi uwierzyć w fakt zabudowań, że nazajutrz
z sąsiedzkich domostw pójdzie z kominów dym,
byli pewni braku ziemi pod stopą, odcięta od świa-
ta. Ouuu...Ouuu...

Wielbiłem jeden tę sukę. Zazdrościłem jej,
aż tak przeraźliwego wycia. I oto dziś mam parę
wierszy, które ogół uznaje, choć by się lękał ich
autorstwa; bo muszą mieścić przerażenie tej wyją-
cej suki. Pewnie, skarb natchnienia zaczerpnąłem
od niej...

Jerzy Grupiński

Jesteś geniusz, koniecznie pisz...

Okres „bohaterski” środowisko skupione wokół poznańskiego zamkowego Klubu Literackiego przeżywało młodością chmurną i górną na początku lat siedemdziesiątych, kiedy to salę kominkową cesarskiego zamku nawiedzali natchnieni skandalisci: Ryszard Milczewski-Bruno, Maciej Ryfa, Andrzej Babiński, Grzegorz Walczak, Edward i Stanisław Popławscy, Marek Kośmider, Przemysław Basiński, Rom – Karol Parno-Gierliński oraz KMT, który podczas warsztatów literackich wskoczył na zestawione stoły i po rozłożonych rękopisach pobiegł do wyjścia... Licealistka Joanna, która opowiadała publiczności jak to poprosiła katechetę o plemniki („na co ci dziecko to świństwo?”), bo chciała pod mikroskopem obejrzeć ludzkie zarodki... Bywała Spółdzielnia Poetycka „SKU(r)Cz” – Smuczek, Kuźniak, Czerep (+ księgowy Fluks) nosząca się po Poznaniu w czarnych melonikach z napisem „margaryna”. Zaglądali i twórcy pierwszych happeningów – Andrzej Matuszewski, Leonard Przyjemski – zawsze pełni niespodzianek. Imprezom towarzyszyła hippisowska orkiestra „Winda”, która miast perkusji taszczyła spory głąz, którym biła w cesarską posadzkę. Edward Balcerzan nazwał wówczas bastionem młodych i najmłodszych pałacowy klub, który po zmianie siedziby (od 2005 Piątkowskie Centrum Kultury PSM „Dąbrówka”) ciągle stanowi (mamy tę nadzieję) ważny punkt na mapie Poznania i kraju.

„Jesteś geniusz, koniecznie pisz...” zachęcał Andrzeja Babińskiego w listach Edward Stachura (według archiwum Jerzego Szatkowskiego). Ten cień nieformalnego patrona Klubu ciągle unosi się nad rocznicą. Cudownie rozchwiany autor natchnionych wierszy, bohater książki Andrzeja Sikorskiego „Motyl na wieży Babel”, czołowy skandalista tamtego czasu, zapisał się w pamięci nie tylko wyganianiem autorów sprzed nosa publiczności (by zając ich miejsce), ale i sławną akcją, kiedy to na oczach widowni wyjął kwiaty z wazonu i wypił wodę. Postać poety sytuuje się w szeregu twórców, którzy tragedią życia zaświadczyli swoistą drogę „życiopisania”: Wojciech Burtowy, Ryszard Milczewski-Bruno, Marek Obarski i Andrzej Ogrodowczyk. Andrzejowi Babińskiemu poświęcono niejedno opracowanie, także film dokumentalny (Agencja „Sowa”), w którym wypowiedzieli się między innymi Andrzej Mendyk, Jerzy Grupiński, Norbert Skupniewicz, Jerzy Szatkowski, Andrzej Śliz, Piotr Śliwiński. W dwudziestolecie śmierci duchowego patrona, Andrzeja Babińskiego, w 2004 roku, udał się na grób poety Marek Kośmider. „Grób był opuszczony, zaniedbany” – opowiadał. – „Poszedłem pod most nad Wartą, gdzie skoczył, posadziłem tuje. Może nie ukradną ?” Junikowski cmentarz odwiedziła też zafascynowana legendą Andrzeja Bogna Hołyńska, piętnastoletnia wówczas gimnazjalistka. Nie bez trudności, bo na Junikowie leży czterech Andrzejów Babińskich. Bogna znalazła grób w do-

brym stanie, z fotografią poety. NN (więc kto?) opłacił miejsce na dziesięć lat.

W roku 1988 zamkowa grupa literacka „W znowie” zorganizowała I Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Andrzeja i Stanisława Babińskich – „O statuetkę Znicza”. Laureat Marek Kośmider przeznaczył swą nagrodę na utrzymanie i konserwację grobu. Pisałem wtedy:

„Nieprzypadkowo wybrano Andrzeja Babińskiego na patrona tego konkursu. Na grób poety tajemnicze (ale znane przecież) ręce, kładą ulubione owoce Andrzeja – jabłka i winogrona. Świadomie grób Patrona otacza się kultem, starannie go utrzymując. Z drugiej strony służą sprawie informację (w „Integracjach, nr XXI z roku 1987) o tym, że „...nawet po śmierci pozostał opuszczony i samotny, bez krzyża i napisu na grobie” – jak Norwid. Bez swej mogiły... Grupa nie cofa się przed zjawiskami nadprzyrodzonymi. Jawią się takowe na serii zdjęć wykonanych przez Tomasza Fellmanna – dziwne smugi i tajemniczy czarny słup bijący z mogiły. Zza grobu wyrasta sosna samosiejka jak wiersz Andrzeja przeniesiony w tak zwaną realność (“Sosno polska...”).



Andrzej Babiński odbiera Zieloną Wazę, 1976

Przed rozstrzygnięciem Konkursu udaliśmy się z Tomaszem Fellmannem i Edwardem Popławskim na ul. Wierzbak 1 po Andrzejowego ojca. Zapisywałem: „Zapychamy „trabanta” i już po kilku minutach pan Feliks Babiński – „Zwierz”, jak mawiał syn Andrzej, (ongis też wierszopis, bo słyszałem przed laty, jak sypał rymowanymi dykteryjkami dla pań), Fel – jak poufale nazywają go młodzi koledzy, nieomylnie prowadzi na grób syna. Z pomnika, z medalionu wita nas Andrzej, niezwykły – w krawacie, elegancki, uśmiechnięty. Na grobie gałązka brzozy, konwalie, kwiat kaliny, bez. W torebce plastikowej jabłko, znicz i czyjś wiersz. Sztuczne kwiaty zatknięte przez 80-letnią matkę poety, która trudni się sprzedażą tych ozdób. Mil-

Andrzej Sikorski

Babiński w Pałacu

czenie. Bo kto odezwie się wobec śmierci? Młodzi poeci składają kwiaty. W drodze na pobliski grób syna Stanisława, zmarłego w klinice psychiatrycznej, pan Feliks wylicza swoje tragedie, zmartwienia, wydatki. Notuję – Po Andrzeju pochował Stanisława, zaraz potem swego brata i dwie siostry. Samo zdjęcie Andrzeja kosztowało 2500zł. Nagrobek – 65.000. Drożyzna. Grób Stanisława – już 100.000. Kategorycznie dementuje wieść o samobójczej śmierci Syna – „Bandziory, panie, bandziory go porąbały. Miał iść na drugi dzień po encyklopedię. Miał pieniądze”. Pamiętam także Andrzejowe Zaduszki w 30 rocznicę śmierci, odwiedziny grobu, kwiaty, milczenie, zdjęcia Jerzego B. Zimnego, Bognę Hołyńską-Wiczyńską, Magdę Pocgaj, Andrzeja Szmała, członków Klubu Literackiego...

Debiutujący ongi w Klubie swym arkuszem poetyckim profesor Michał Januszkiewicz, autor monografii poświęconej Andrzejowi Babińskiemu – „Bezdomność i bunt” (Instytut Literatury, Kraków 2024r.) zamieścił na Facebooku nowe zdjęcia grobu, będącego aktualnie w oplakanyim stanie. Miejmy nadzieję, że nie zaginie to miejsce Andrzejowe wiecznego spoczynku... W 40-lecie tragicznej śmierci, poeta wraca swym słowem... Po latach znów rosą publikacje, opowieści, anegdoty. Także i te, które wymagają sprostowania. Jeden z kwartalników literackich przypisał mi tekst Andrzeja Babińskiego pt. „Drogi Redaktorze”. W roku 1970 nie znałem jeszcze Andrzeja Babińskiego, nie jestem więc tym „redaktorem”, adresatem publikowanego w „Protokole” listu poety. Nie przypominam też sobie, abym płacił Babińskiemu za „akcje”, które odgrywał w Sali Kominkowej Zamku, jak sugeruje Andrzej Sikorski w tekście „Babiński w Pałacu”. Przytoczone w bieżącym numerze kwartalnika sceny, skandalizujące akcje Andrzeja Babińskiego (chyba będące świadomymi aktami protestu, kreacji, mniej objawami chorobliwych zachowań), niech nam nie przesłaniają tekstów poety. To one, oczywiście, decydują o miejscu tej twórczości w obrazie współczesnej polskiej poezji. Niemniej, przytoczone sceny, obrazy, kreacje na pewno przybliżą czytelnikowi wiersze poety.

Bibliografia

Barbara Kęcińska – Lempka – „Integracje, nr XXI, 1987
Jerzy Grupiński – „Andrzejowe znicze”, „Poezja” nr 10, 1988, str. 101-102
Jerzy Grupiński – Wstęp do wydanego na czterdziestolecie Klubu, w roku 2011 almanachu Klubu Literackiego „Na końcu świata albo języka” (Wydawnictwo Kontekst), zredagowanego przez Jerzego Grupińskiego oraz Jolantę i Stanisława Szwarców. Tytuł zaczerpnięto z wiersza Łucji Dudzińskiej.

Zdzisław Czwartos

15 I 1937 † 9 VIII 2024

*Gdybym miał moc czarownic,
już bym nie był człowiekiem
jeno ptakiem
Nie, nie, nie
nie ptakiem
raczej piórkiem ptaka...*

Nawet teraz, po dziesięciu latach od tragicznej śmierci, wielu osobom poeta Andrzej Babiński kojarzy się na pewno z BWA, z Kawiarnią Literacką (Na Starym Rynku) i z dawnym Pałacem Kultury, a dokładniej z Salą Kominkową lub z innymi pomieszczeniami tego olbrzymiego budynku. Bywał w tych miejscach i – w moim odczuciu – pozostawił swój ślad, o którym coraz bardziej zapominamy. Wydarzenie, którego Andrzej Babiński stał się głównym bohaterem, miało miejsce w maju, u schyłku lat 70. Poszedłem za namową Andrzeja Medyka i... nie żałuję. Już przy bufecie, przy Sali Kominkowej zatrzymała mnie grupka ówczesnej bohemy młodoliterackiej Poznania: M. Ryfa, bracia Popławscy, A. Mendyk i sam Mistrz, który autorytatywnie stwierdził, że mamy czas, bo to spotkanie się właśnie zaczyna i spokojnie można jeszcze wypić po herbatce i po piwku.

- A wiersze, przyszedłem trochę posłuchać – powiedziałem nieśmiało do Andrzeja Babińskiego.

- Masz przerzucić – odpowiedział mistrz, podając mi zgięty na pół tomik, nie przerywając dyskusji na tematy różne.

Coś tam zdążyłem przeczytać. Kiedy nagle padł rozkaz: Idziemy! Andrzej bardzo lubił takie wejścia. Wszedł więc pierwszy, w płaszczu, my za nim – jako jego cienie. Wszyscy obecni na spotkaniu automatycznie skierowali głowy w naszą stronę. Poczułem się nieswojo, tym bardziej, że Sala – jak nigdy – pękała w szwach. Mistrz nie oglądając się na nikogo, zdjął płaszcz i cisnął komuś w pierwszym rzędzie na kolana. Zaraz powiedział trochę głośniejsz: Siadajcie! Natychmiast znalazło się miejsce dla nas, a Andrzej nie pytany przez nikogo, podszedł do Debiutantki i... rozpoczął niezapomniany – przynajmniej dla mnie – monolog. Wystraszona poetka stanęła, jakby ją zamurowało – czemu specjalnie nie należało się dziwić – a Babiński, gestykulując mówił :

- W Poznaniu mamy trójkę poetek: Iłakowiczównę, Najwer i Danielewską. A teraz rodzi się w bólach twórczych następna. Czy trzeba jednak wydawać całą książkę, by publikować trzy, cztery dobre wiersze?!-zawiesił głos i sięgnął do przepastnej kieszeni w swojej wiecznej rozpiętej marynarce. Przez dobrą chwilę grzebał na piersi i wreszcie wyciągnął tomik, ten sam, który przeglądałem w barku. Z impetem rzucił książeczkę na stół, tuż obok ciężkiego lichtarza. Grzebiąc nadal w kieszeni marynarki mówił trochę niewyraźnie, ale z jego bezzębnych już wtedy ust dobywały się zdania, które jakoś docierały do publiczności. Widownia zaczynała powoli szemrać, będąc zupełnie zaskoczona a nawet zaszokowana obecnością takiego oryginała. Nikt jednak nie próbował przerywać tego monologu

- Nigdy nie widziałem tutaj aż tylu ludzi. Pewnie debiutantka zwołała swoich znajomych, grono nauczycielskie i wszystkich uczniów ze szkoły... - przerwał i wyciągnął kilka zmiętych kartek papieru. Niech i tak będzie! Poezja, to trudny chleb i właściwie żadnej babie to się nie wiodło w poezji za dobrze. Tak, ale poznańska trójka ciągnie poezję dosyć dobrze, chociaż jest jeszcze Łatawiec... i właściwie ona zamiast Danielewskiej, tak Łatawiec

– z jej rodowodem – powinna się liczyć – mówił coraz szybciej. Publika lekko zdezorientowana zaczynała się wiercić. Prowadzący spotkanie Jerzy Grupiński patrzył błagalnie na Babińskiego, a ten nic. Andrzej spokojnie rozprostował swoje karteczki. Debiutantka trwała nieporuszona. Mistrz już trochę podochocony, ciągnął dalej, tyle że słowa stawały się coraz bardziej niezrozumiałe. Cieniułka smużka śliny zaczynała mu cieknąć z ust, głos stawał się bardziej suchy.

- To dobrze, dobrze, że jesteście. Teraz przeczytam wam swój wiersz: Żal. To dobra poezja -moja. I czytał, słowa tonęły w gardle i – niekiedy – przypominały coś jakby bulgotanie. Po kilku liniach został wyklaskany. Nie poddawał się, doczytał do końca. Złożył delikatnie karteczkę i wrzasnął lub lepiej zawył, na całe gardło: - Nie boję się was nauczycieli, wojskowych i tajniaków! Dzisiaj musicie mnie słuchać!!!

Odwrócił się gwałtownie do stołu wyłożonego – chyba – zielonym suknem, chwycił za wazon... w tym momencie zamarła cała sala. Szybkim bardzo zdecydowanym ruchem wyciągnął z niego kwiaty i... wypił wodę! Potem najspokojniej w świecie wytarł wierzchem dłoni usta, wstawił kwiaty i – już ciszej – zwrócił się do Jerzego Grupińskiego:

- Słowa – zapracowałem, nie ? – zapytał z naciskiem, nie znoszącym sprzeciwu. Prowadzący spotkanie sięgnął bez słowa do kieszeni i... wydłubał dwa, trzy banknoty. Mistrz zabrał kasę, zmierzył jeszcze raz całą publiczność, gładząc prawa dłońią, w bardzo charakterystyczny sposób, krótko ostrzyżoną głowę.

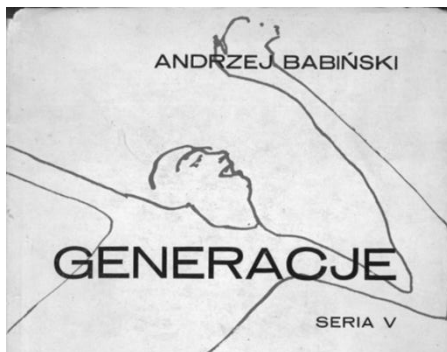
- Idziemy! – zawołał w naszą stronę.

Wyszliśmy. Powędrowaliśmy do kawiarni „Ewa”, przy ulicy Dąbrowskiego, niedaleko od Teatru Nowego. Tam trochę dyskutowaliśmy o literaturze, nie wspominając ani słowem o zdarzeniu w Sali Kominkowej. Następnego dnia dowiedziałem się, że promocja książki skończyła się zaraz po naszym wyjściu.

„Krań spotkań”, Almanach CK Zamek 1970 – 1995, Poznań 1995.

Motto:

Historia o przechwalebnym jubileuszu XXV-lecia Klubu Literackiego w kilku wierszach, dedykacjach i panegirykach dosyć zwięźle wyłożona za lata Pańskie i ludzkie 1970 – 1995, a w niej zawierające się dziwotwory poetów, potwarze, popisy prozaików, kobiet i uczonych zadziwiające przypadki przez sługę Muz Jerzego Grupińskiego In folio pilnie zebrane.



Debiut Andrzeja Babińskiego, red. Jerzy Leszcin-Koperski, A.K.Waśkiewicz, Warszawa 1975, okładka – Norbert Skupniewicz.

Urszula M. Benka

Kasandra

Odkąd świat światem, przestrogi odbijają się grochem o ścianę, a my wobec zdarzeń dopiero co zapowiedzianych, włącznie z wyłuszczeniem i ich przyczyny, i środków zaradczych, stoimy bezradni. Z kolei, mało kto wątpi w słowa Kasandry, że Trojanie byliby szczęśliwi, zachowując mienie i wolność, a pozbywając się Heleny i Parysa.

Im głośniej krzyczy Kasandra, tym Trojanie czują się bezpieczniej. W miecie oni bynajmniej nie zatykają sobie uszu. Patrzą natomiast w medialny obraz zmaturalizowany w piękną Helenę. Patrzą w przejęciu tak jak na celebrytki patrzy internauta. Helena pachnie migdałowym mleczkiem. Jej stopy miększe od płatka magnolii. Modna fryzura. Stylowa suknia. Księżycowa tajemniczość; imię oznacza zresztą „światło księżycy”. Dokonało się przesunięcie proporcji znaczeń a komunikat przeciążony urokami Heleny, elementami mianowicie wizualnymi, zmysłowymi, tłumiącymi werbalne, został z burzony. Tu zwrócę uwagę: z chwilą zaburzenia komunikat ma już inną treść; odbiorca przyjmuje lub odrzuca ją w całości. Jeśli zadawała się jakimiś fragmentami, popadnie w chaos, w cierpienie – cierpimy, kiedy negujemy rzeczywistość – lecz te symptomatyczne udręki przeżywa wyłącznie Kasandra. Na marginesie, pewien irlandzki mnich z XI w. porównał uporczywość zapobiegania cierpieniu z łapaniem strzały w locie: omal zawsze się poranimy, lepiej pozwolić jej swobodnie opaść.

Troja wszakże pozostała niezdołana. Oparła się całą dekadę, doprowadzając najeźdźców na skraj rejterady, a w międzyczasie tętniła szczęściem.

Objasniając to, rutynowo sugeruje się wyższość proroctw nad świecką beztroską. W wypadku Kasandry zaszła znamienna inwersja: przypisano jej mowie patos mistyki kreślonej poprzez... patetyczne atuty życia świeckiego – w uproszczeniu: usłuchaj proroka, a będzie ci się powodziło (co można „udowodnić”, wywłaszczając krnąbrnych, blokując im awans społeczny oraz wychodzenie z nędzy. To są oczywiście walory już z epoki, kiedy autorytet mistyki osadził się na świeckich podstavach, kiedy mistykę posiłkowano ludzką akceptacją, przyzwoleniem politycznym, i kiedy na stany mistyczne patrzono pod kątem ekonometrii, a samą mowę proroka przeciwstawiano naturalnej mowie faktów i ciał zgoła tak, jak gdyby rzeczywistość straciła rangę języka, autonomicznego a klarownego języka. Odtąd mistyka jest nadrealna a zamiast oczu i uszu, węchu, dotyku, zmysłu równowagi oraz własnych intuicji potrzeba „ekspertów” do rozumienia mowy świata, ci zaś patrzą w księgi, w makiety, konsolety, ciekłokrystaliczne ekrany, smartfony, nawet szklane kule, polegają na intelektualnych i duchowych autopilotach. Również na planie psychiki tak się dzieje: stary model freudowski obrazowałby znamienne odizolowanie „id” od „superego” warstwą „ja”, w rezultacie sfera wartości wspólnotowych dotyka już tylko płytkiej samoświadomości, akceptowalnej, a kiedy dają o sobie znać rozległe głębsze pokłady psychiki, nakazuje je negocjować albo odpokutować, a zawsze aksjologizować. Sama przez się formuła proroctwa niezdołnego spełnić tego akurat wymogu: ekonomicznego sukcesu, została przedstawiona

jako kara dla konkretnego wieszczka, wyjątku od reguły, jaki potwierdza regułę. Kasandrę ukarał Apollon za to, że odrzuciła jego zaloty. Troja jednak odrzuciła komunikat inny niż nominalna treść słów prorokini: odrzuciła treść powiększoną o piktogram-Helenę; odrzuciła rezygnację z zachwytu, z pulsującego entuzjazmu w obcowaniu z pięknem, z przełykania śliny. Tego domagała się Kasandra. Domagała się tego w imię *sacrum* kapłanka skonfliktowana z *sacrum*, od społeczności już rozłupanej na specjalistów od świeckości i od *sacrum*.

Kasandra uosabia komunikat przeciwskuteczny. Skupiano się na wrzaskliwości, emfazie lub – to już nowsza interpretacja – instrumentalnym traktowaniu kobiety, której z zasady nie dowierza się: nawet, jeśli by przedstawiła żelazne argumenty, będzie zbywana w przeświadczeniu, że to tylko jedna z równouprawnionych narracji, jedno ze stanowisk, i należy wypracować konsensus. Kobieta nieuległa łąduje na bocznicy, pozbawiona wpływu na decyzje. Tak odczytując niniejszy mit, w dalszym ciągu zakładalibyśmy, że Kasandra miała „obiektywną” słuszność.

Płęć w perspektywie mitu jest oczywiście czymś względny a syndrom Kasandry (rozpacza na widok, jak przeraźliwie jasna sytuacja bywa lekceważona) gnębił mężczyzn z patriarchami na czele – „nie ma proroków we własnym kraju” i „wołanie na puszczy”; oni też (np. mnisi buddyjscy) wyodrębnili rodzaj grzechu – mowy nieprzydatnej, bez przygotowania słuchaczy. Ktokolwiek traci czas na takie przedsięwzięcie, ponosi winę. Mamy tu jednak do czynienia z morfologią „bezsilności Kasandry”, lecz jeszcze nie ze strukturą. Otóż niezależnie od formy, przekaz kasandryczny rozplywa się w powodzi mnóstwa drobnych ubocznych przekazów, fascynujących i zarazem drażniących, związanych z Heleną. Niczym z drugim ją Kasandry – skoro jej bliźniak ma na imię właśnie Helenos, męską formę imienia Heleny, znaczące „pochodnia”, „kaganek”.

Kasandra tedy przemawia i sobą i Heleną. I jest tym samym niekoherentna, autodestruktywna (wzywa do wygnania Heleny lub wydania jej w ręce Menelaosa, lub – w najstarszych wersjach opowieści – do złożenia w ofierze za pomyślność miasta). Zarazem, niejako pod postacią Helenosa, chce... poślubić Helenę, owdowiała po śmierci Parysa. Królewicz bez pamięci zakochał się w bratowej. Zamiast iść walczyć, zostawał w pałacu, tłumacząc się obowiązkami kapłana (też był wieszczkiem), podpatrywał Światło Księżycy. Atoli jego brat Deifobos też poprosił o rękę Heleny. Gdy dogasł stos pogrzebowy Parysa, wybuchła kłótnia, Helena próbowała spuścić się z muru i uciec, a wtedy Deifobos ją zgwałcił. Ten postępek wzbudził wielką odrazę w mieście; Helenos ponoć właśnie wtedy stracił serce do stawania w obronie kobiety, która po gwałcie wyglądała na zadowoloną. Można przybliżyć obiektyw: młodzieniec natyka się na dumną królową Sparty, jak na oczach wojowników i służby powolnymi ruchami opłukuje się w basenie, przysługa swojemu odbiciu i zdaje się szeptać: lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie? Wzgardzony Helenos uciekł w góry, gdzie natknął się na Odyseusza. Ten dobył miecza, lecz Helenos wyblagał darowanie życia w zamian za zdradzenie Grekom co należy uczynić, żeby Troja została nareszcie pokonana. Jeśli więc pewna kość Pelopsa zostanie przyniesiona do wrogiego obozu, jeśli Neoptelema stanie do walki, jeśli zostanie wykradzione z cytadeli przenajświętsze palladium. Inni powiadali, że Helenos podsunął Odyseuszowi

pomysł wykonania Konia Trojańskiego. To wskazuje na złożoność kasandryczności.

Po drugie, z punktu widzenia odbiorcy przekazu właśnie owe „nieistotne” dane (w rodzaju majteczek celebrytki na zdjęciu w Internecie) dla psychiki byłyby ważniejsze od ustroju, w jakim przychodzi żyć, od osobistej degradacji. Troja spłoneęła. Kto przetrwał rzeź, został niewolnikiem, włącznie z Kasandrą, ale z perspektywy rzeczywistych potrzeb psychiki było to drugorzędne. Coś zatem powoduje nadwagę „nieważnych” elementów całości przekazu. Jej trojański adresat, pamiętajmy, jest inteligentny, zadbany, nie sposób odmówić mu zalet iście homeryckich. Po prostu, potrzebuje Heleny. Ogniskuje na niej uwagę z ekstremalnym poświęceniem. **Troja walczy o swoje być albo nie być, ale wraz z Heleną jako swoistym, niezbywalnym punktem tożsamości.** Ten niuans umknął artystycznym nawiązaniom do *Iliady* w czasach mizoginicznej kultury wiktoriańskiej, w jakiej podsumowano pokłosie antyku a naświetlano je romantyzmem. Traktowano wtedy Helenę jako alternatywę Troi. Dante Gabriel Rossetti namalował ją, jak z lekko wydętymi wargami bawi się potrójnym zielonkawo białym naszyjnikiem, twarz obojętna, z nutą smutku. Na obrazie Evelyn de Morgan wdzięczy się przed lustrem. U Frederika Sandysa ma minę nadaśaną, próżną i kapryśną: malarz oddał ją tradycyjnie akcentami czerwieni: włosów płomiennie rudych, ust, kolii. Czerwień to najważniejsza z barw. Alarmująca. Barwa-sygnal. Nie da się jej przeoczyć. Wizerunkom Kasandry brak tej spójności *znaków* – nawet gdy obnaża dolne zęby.

Mit niniejszy „zaczyna się” sceną, kiedy Kasandrę i Helenosa, jeszcze w kołysce, nawiedził wąż i poślinił im buzie: dziewczynka została wybranką Apollona, tak więc strukturowo sięgniemy tutaj w pokłady dzieciństwa, w zmazę albo piętno z okresu kluczowego wszędzie, kiedy kultury ulegają tępnięciom i z komfortowych cywilizacji przekierowują na wegetowanie w ruinach, w rozproszeniu, beznadziei. Otóż Kasandra wieszczyla już, kiedy Parys się rodził. Nalegała na matkę, by natychmiast zabiła noworodka. Posłuchano jej wtedy, wyrzucano bachora w góry, ale kiedy wrócił, zmężniały, zwycięski w sporcie, prostolinijny po swoim idyllicznym, niemal kowbojskim doświadczeniu (wychowany w pasterskim szałasie), to nikt już w Troi nie kwapił się zabijać go ponownie. Skoro aż dotąd żyje a nic się nie stało? Troja miała poczucie winy. Jakiś rodzaj tłumionego strachu przed przyszłością mści się, owszem, na dziecku, ale cofa przed zwyczajnością, jaką jest dorosłość.

Dzieciństwo to faktycznie stan nie do końca jeszcze ludzki. Ileż to razy słyszeliśmy: nie bądź dzieckiem! Dziecinny jesteś! Infantylny, smarkate zachowanie! Zalecenie „bądźcie jako dzieci” brzmi osobliwie. Trzeba się przemóc, aby ponownie odkryć jakikolwiek sens dziecięctwa u czterdziestolatka, osiemdziesięciolatka. W niczym jednak nie zmienia ta maksyma ewangeliczna faktu, że stan dziecięctwa należy do wyjątkowych nawet u ludzi bardzo młodziutkich.

Dokończenie eseju w następnym numerze „Protokołu Kulturalnego”.

Stefania Pruszyńska

Andrzej Babiński publicznie...

Przychodził na spotkania kominkowe Klubu Literackiego, mającego wówczas siedzibę w Pałacu Kultury, obecnie pod nazwą Centrum Kultury „Zamek”. Na tych wieczorach upodobał sobie bycie postacią centralną, choćby nie był głównym autorem zaproszonym przez prowadzącego od 1970 r. klub poetę Jerzego Grupińskiego. Barwy emocji, które wyrażał A. Babiński swoimi komentarzami i pytaniami, często zaczepnymi a przedziwnymi pozami (np. *rezonował*, podpierając głowę ugiętą ręką i uparcie leżąc przed stolikiem, przy którym Edward Balcerzan prezentował swoje dzieło pt. „Któż by nas takich pięknych”), niekoniecznie były przyjmowane jako atrybuty daru swobody myśli i wypowiedzi. Teatralia Andrzeja B. dezorientowały. Niektórzy uznawali je nawet za programowe improwizacje, dorozumiane z Jerzym Grupińskim. Z interakcji *ad hoc* nietrudno było zaś wnioskować, że Andrzej B. jednych najwyraźniej drażnił lub oburzał, drugich zaciekał, lecz miał również swoich zagorzałych sympatyków. *Summa summarum*: wywoływane przez A. Babińskiego artystyczne zamieszanie, konsternacja czy odległy od powagi temat klimat jednoznacznie dezorganizowały tok programu wieczoru i wypowiedzi uczestników klubowych biesiad literackich.

Dla mnie, wrażliwej obserwatorce, uważnej odbiorczynie słowa, gestu, mimiki, klimatu, te zachowania Andrzeja B. postrzegałam jako demonstrację jego silnego ego w stanie protestu. Dawał temu niejednokrotnie upust na możliwe do zastosowania sposoby, przekraczając normy świata uładowanego, trzymającego się konwencji i przyjętych zasad dialogu. Zaskakiwał burzeniem schematów, zdążając do osiągania sytuacyjnych zwycięstw. Słowo w jego ustach miało wówczas rangę oręża. Wulgarnie czy mogące się kojarzyć z nieuzasadnionym nieprzyjaznym zamiarem, potrafiło niemal hipnotyzować otoczenie. Wywarło wrażenie wzmacniał swoją władczą postawą.

Pojawiał się również na poznańskich spotkaniach literackich w innych oazach. Zwracał wówczas uwagę na siebie, gdy milczał albo siedział osowiały. Nieskory do rozmów, zdawał się być nieobecny, poddany jakimś zimnym ogniom, które go wypalały.

W okolicy ul. Roosevelta, w pobliżu *Teatralki*, mostu Teatralnego, i przystanku tramwajowego pojawiał się nieprzypadkowo – mieszkał w tamtej okolicy, „gdzie blisko” (Nad Wierzbakiem) ze starym ojcem, nazywanym przez niego: Zwierzem, jak wiadomo mi ze znanych powszechnie przekazów, lecz dużo wcześniej poznanych z ust Grażyny J., mojej serdecznej znajomej od czasów szkoły średniej, a wówczas także studentki UAM i sympatyczki klubowych wieczorów literackich w Pałacu Kultury.

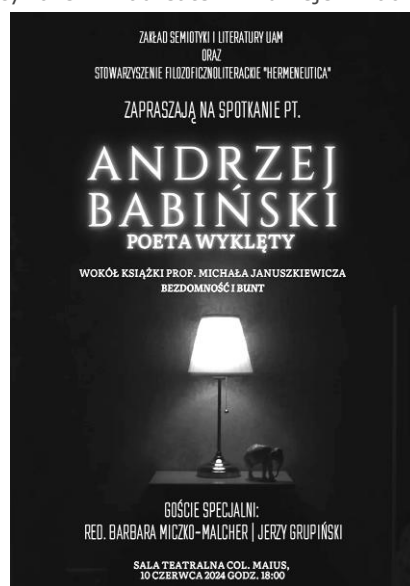
Z myślą o nim czyniła jakieś starania o środki ze służb socjalnych lub od ofiarnych wspomóżycieli. Andrzej w kryzysach zdrowotnych, psychicznych, całkowicie się zaniedbywał. Próbow-

ła wraz ze znajomymi delikatnie go zachęcać i przekonywać do konieczności zmiany ubrania, starań o higienę i uzupełnienie brakującego uzupełnienia. To była bardzo drażliwa misja. Niewątpliwie wszystkie negatywy, które odczuwał, mogły sprzyjać niskiej samoocenie i pogłębianiu stanów psychicznych, skazujących go na niebываłe sprzeczności. W treściach jego poezji można znaleźć lustra tych światów – jedne tchną liryką i hołdem naturze, pierwotności, drugie – drapieżną wyobraźnią burzą logikę ładu, zastany stan antynatury stworzonej przez człowieka, a jeszcze inne – poszukują formuły harmonii między skrajnościami.

O zmaganiach Andrzeja Babińskiego z egzystencją i twórczością tak oto pisze w posłowniu do tomu pośmiertnego „Znicze i inne wiersze” Feliks Fornalczyk: *Potrzebował pieniędzy, zabiegał o kolejne stypendium, chciał mieć maszynę do pisania. Domagał się audycji w radiu, przebierał ad hoc szpargaly z wierszami i zostawiał je w redakcjach. Wzbudzały tam zainteresowanie, czasem zakłopotanie, ale bywały drukowane. Bardzo chciał zarabiać na swoje potrzeby pisaniem, co u nas łączy się z wielkim ryzykiem i miernymi efektami. Był wszak outsiderem z musu swojej odmienności i nieukładności.*

Któregoś dnia zdumiał mnie, gdy przechodząc nieopodal w towarzystwie napotkanych znajomych, zauważyłam, że wyraźnie prowokował przechodniów do datków, siedząc na odsuniętym od stolika krześle przed restauracją na Starym Rynku (usytuowaną blisko rogu Starego Rynku i ul. Szkolnej) i recytując, i odczytując obsceniczne treści, najpewniej swojego pióra. To był bardzo przykry, wręcz przygnębiający widok omijanego pospiesznie Andrzeja B. i zarazem niechciane słuchowisko z innej planety słowa.

Pamiętam atmosferę napięcia podczas turniejów „Zielonej Wazy” w 1975 i 1976 roku. Oczekiwaniem sporej gromady nas, żaków, także przecież już tworzących własne strofy, lecz odwołujących decyzję o uczestnictwie w tych turniejach, była wygrana Andrzeja Babińskiego. Sala Marmurowa Pałacu Kultury pękała w szwach – takie tłumy sekundowały startującym w szranki swoimi zgłoszonymi wierszami. W 1975 roku przyjmowaliśmy werdykt jury z pewnym wyczuwalnym rozczarowaniem i żalem, za to w 1976 roku – triumfowaliśmy wszyscy razem z laureatem Andrzejem Babińskim!



Jerzy Grupiński

Andrzejowe znicze

Wreszcie stoję przed tym zwalistym, z czerwonej cegły domem, tak blisko ruchliwej ulicy i wysokiego nasypu z torami, przed budynkiem postawionym (by posłużyć się słowami autora *Zniczy*) jak na skrzyżowaniu dróg tej Planety, ul. Nad Wierzbakiem 1. Kamyk Tomka Fellmanna nieomylnie trafia w wysokie okno. Za szybą ukazuje się twarz Starszego Pana. Za chwilę jesteśmy w tym pokoju. Obszerna, wysoka kamera podzielona szafa na pół przez ojca i syna jest pełna życia – kłębi się tapczan, błyskają talerze. Nawet jeśli nie rozglądać się zbyt nachalnie, widać, że pełni funkcję sypialni, kuchni, a może i łazienki. „Ja – to jakby jeża, przez lejek...” – pamiętam, mówił Andrzej, gdy zamierzał pokój ten przedzielić przepierzeniem i zamieszkać z Kadrową. Tak nazywaliśmy narzeczoną z tego czasu. Pracowała w kadrach. Był już welon i ciemny garnitur, i buty. Ale, jak widać z przytoczonego zdania charakteryzującego intymne chwile, oblubieniec nie był zadowolony z panny i ślub padł /.../

Wracamy do klubu „Trops” na finał I Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Andrzeja i Stanisława Babińskich – „O statuetkę ZNICZA”. W programie koncerty poezji śpiewanej Marka Zgaińskiego i Mariusza Damratha. „Teatr bez kompromisu” – przedstawienie w reżyserii Tomasza Fellmanna pt. „Karczma”. „Spektakl jest montażem poetyckim współczesnych autorów. Próbuje podjąć temat Ojczyzny i roli pisarza, który sam określa się w stosunku do aktualnych wydarzeń politycznych i społecznych w swoim kraju, jak i w świecie” – piszą autorzy programu złożonego w sposób typowy: bierze się teksty własne i kolegów, dodaje się dla wsparcia kilku „obcych”, ale dosyć znanych – jak Barańczak, Miłosz, Lao-Tsy, Wyspiański – i tak powstaje wypowiedź sceniczna, którą niejednokrotnie widywałem, tu w Poznaniu, w „Teatrze Ósmego Dnia” i na deskach „Teatru Nowego” /.../

Pora przedstawić sprawcę tego znaczącego przedsięwzięcia. Jest nim grupa artystyczna „W ZMOWIE” w szturmowym składzie: Piotr Bułczyński, Tomasz Fellmann, Edward Popławski (rok założenia 1986). Należy jeszcze Mariola Orzechowska, artystka-plastyk z Wrocławia. Młodzi pisarze rozpoczęli swój szturm od prezentacji w poznańskim Pałacu Kultury 1 VI 1987r., rozgłaszając, że grupa „powstała w opozycji do mafii instytucjonalizowanych ugrupowań, w trosce o nowy kształt i niezafalszowaną historię literatury” (sic!). Grupa myśli o otwarciu kawiarni, która stałaby się niezależnym elementem integrującym środowisko artystyczne – co w Poznaniu, nieposiadającym klubu związków twórczych (są podobni tacy, którym na tym zależy), byłoby prawdziwym ewenementem. Manifest grupy stawia następującą diagnozę naszej kulturze – „wzajemna adoracja artystów i grup artystycznych, starcia interpersonalne, kreowanie sztucznych wzorców ideowych, estetycznych i artystycznych, komercyjność działań, tworzenie koniunkturalnych układów, kokieteryjna gra ze spuścizną ideową, kulturalną i konkretną rzeczywistością”.

Nic dziwnego, że w spokojnym Poznaniu ugrupowanie budzi sporo podejrzeń (ta nazwa) i niepokoju – prace na konkurs napływały pod prywatny dres. Mówi się nawet, że członkowie

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 89/2024

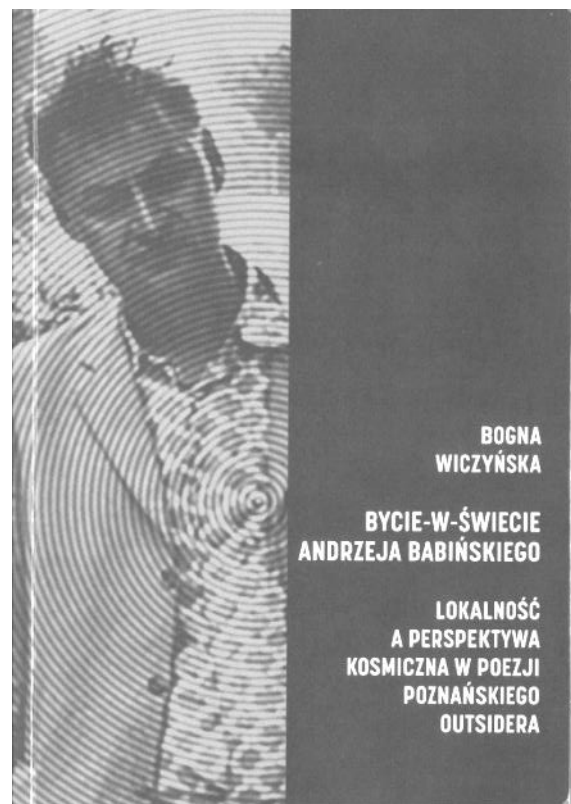
„W ZMOWIE” byli w towarzystwie tych młodych osób, które wdary się wieczorem pamiętnego dnia do tutejszego lokalu ZLP i spowodowali pewnego rodzaju zamieszanie i nieporządek. /.../

Wracając do konkursu. Stało się w Poznaniu i w kraju wydarzenie ważne. Zestawy tekstów nadesłało 285 autorów z całej Polski. Impreza zgromadziła czołówkę młodych piór. Laureat – Marek Kośmider (kiedy polubią go wreszcie redaktorzy i wydawcy?) przeznaczył nagrodę na fundusz pamięci Patrona, opiekę nad grobem i kontynuację konkursu.

Długo przebiegałem się, dochodziłem do wierszy Andrzeja Babińskiego. Pomógł mi wiele esej Katarzyny Suchcickiej „Tu się walczy o życie nie o nieśmiertelność”, pomieszczony w wymienionym już numerze „Orientacji”. Praca głęboka i piękna. Gdy się ją czyta, chwilami – wydaje się piękniejsza niż ta poezja, która jest przedmiotem krytycznego oglądu.

Myślę, że Andrzej Babiński, który znał moje wyżej przytoczone zdania (i często gwałtownie przeciw nim protestował), daruje mi to pogodne sprawozdanie ze swoich uroczystości. Przecież właśnie On, nie kto inny, w imię Prawdy i przeciw Schematowi zrywał pałacowe imprezy. Wyganiał autorów, próbując zająć ich miejsca lub przeganiał publiczność niegodną Andrzejowych uniesień /.../.

Fragment publikacji „Andrzejowe znicze”, „Poezja” nr 10, 1988, s. 101-102.



Wyd. Ryś, Poznań 2023.

Stanisław Chyczyński

Dziennik Stefana Pastuszewskiego

Stefan Pastuszewski objawił się jako *rara avis*, ogłaszając niedawno swój *Dziennik czasu zarazy i wojny*. Pierwszy wpis w tej książce nosi datę 1 marca 2020, ostatni zaś 29 lutego 2024 r. Jak sam tytuł wskazuje, refleksje wiążą się tematycznie z wybuchem pandemii *covid 19* oraz wojny na Ukrainie. Tytułowe wątki przewijają się co i rusz w *continuum* notatek bydgoskiego pisarza, ale skądinąd jego rozważania dotyczą też mnogości innych spraw, tematów, zjawisk politycznych, kulturowych, artystycznych *etc.* Jest tego naprawdę mnóstwo.

Dziennik intymny bywa niejako nocnikiem, do którego pisarz wypróżnia się z nadmiaru przetrawionej codzienności. U Pastuszewskiego jest inaczej, gdyż jego zapiski nie mają charakteru intymnego, a jeśli już, to stosuje on niedomówienia, niedomknięcia, niejasności. Czy jest to forma autocenzury?... Skądinąd miło jest spotkać w tym diariuszu nazwiska znajomych literatów, np. Jolanty Baziak, Jerzego Grupińskiego, Pawła Kuszczczyńskiego, Darka T. Lebiody, Elżbiety Stankiewicz-Daleszyńskiej, Jurka Utkina czy Tadeusza Zawadowskiego. (Nie ukrywam, że jeszcze milej byłoby zobaczyć własne miano, w jakimś korzystnym świetle, ale...). Jednych autor jawnie komplementuje (np. O. Tokarczuk, A. Stasiuka, J. Barana, A. Nagórska), innych ostro krytykuje, np. prof. M. Urbanowskiego za książkę historycznoliteracką pt. *Wojna, śmiech, polityka* (2023). Grupińskiego mianuje „Księciem Poetów pozawarszawskich i pozakrakowskich” (s. 116), a nawet rzecze: „gdybym orientował się w gąszczu tych obydwu literackich uli, to być może przyznałbym jemu ten książęcy diadem na całą Polskę” (*ibidem*). Zgodnie z niepodważalnym prawem do subiektywnych osądów, swobodnie obsypuje superlatywami swych ulubieńców. Chwali np. spotkanie autorskie Pawła Kuszczczyńskiego w Poznaniu, ale zbywa milczeniem ostatnie pożegnanie Elżbiety Stankiewicz-Daleszyńskiej, którą nazywa „świątą pisarką”. Czasem ewidentnie szarżuje, deprecjonując twórczość np. J.M. Rymkiewicza, jednego z największych pisarzy. Ale też potrafi ująć się za sekownym arcybiskupem Markiem Jędraszewskim. Chwała!

Dr Pastuszewski okrasza wywody aforyzmami i sentencjami. Trzy przykłady: „Wydrukować można, ale znaleźć czytelnika – oto jest sztuka!”, „Trudno być herosem wobec olbrzymia historii”, „Poetą się jest, a nie bywa”. Często powołuje się na opinie swego wnuka, młodzieniaszka Sebastiana. Odważnie snuje refleksje psychosocjologiczne, polityczno-historyczne, ale też autotematyczne. O swej diarystyce pisze wprost: „Jest prosta. Reporterska, historiograficzna”. Trzeba dodać: jawnie wartościująca! Rzecz była regularnie drukowana w „Akancie” i czytana przez stałych odbiorców miesięcznika, niekiedy generując silne emocje. Pamiętam, jak kiedyś zadzwoniła do mnie Xiężna

Pani, zbulwersowana jakąś notatką diarysty. Innym razem był to Marek Słomiak, znający poznańskie podwórko literackie od wewnątrz. A to znaczy, że dziennik Pastuszewskiego był dziełem żywym, rezonerskim, kontrowersyjnym, ale przez to właśnie absorbującym uwagę. Epilog stanowi aneks: *Refleksje nad biografią*. Bonusem jest indeks nazwisk, ułatwiający poszukiwania (gdyby był rzetelny...). Gratulujemy i czekamy na zapowiadany *Dziennik czasów poplątanych*, Panie Stefanie!

Stefan Pastuszewski, *„Dziennik czasu zarazy i wojny” (2020–2024)*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2024.

Paweł Kuszczczyński

Tęsknota wołająca nocą

Pamięci A.S.

Ćwierć wieku wspólnego terminowania
w rzemiośle życia
wypełniało nieustanne odnajdywanie
mądrości dobra.
Skinienia rąk wzbogacone zamyśleniem
przedłużało wspaniałomyślnie
światło korytarza.
Można było wchodzić w spokój i ciszę.
Serce nagle porzuciło
swoje tytaniczne zadanie –
przestało być równaniem bytowania.
Dokąd zmierzało szpitalne łóżko,
teraz wiem:
miały się spotkać błyski źrenic.
Trudno uwierzyć –
było to nieuświadomione pożegnanie.
Tęsknota nocami woła –
przecież nikt stamtąd nie wrócił
i powiedział, jak tam jest.
Czy śmierć jest częścią Istnienia –
to pytanie ciągle się zjawia.
Biel wieżowca pocięta brązowymi pasami
niepotrzebnie przyciąga oczy,
nogi już wiedzą, że pogubił się sens.
Tęskno mi jak dźwiękom wiolonczeli.

Zygmunt Dekiert

Nokturnem przytulić dzień

Noc to tylko mgnienie chwili
Spacer po chybottliwej kładce ciemności
skrzypiącej marzeniami sennymi

Przepadną w otchłani rodzącego się światła...

Twoje spojrzenie
dotyk powitania płynący ciszą uśmiechu
jawą w nurcie wzburzonej rzeki
- która nigdy nie zasypia

Krzysztof Galas

Nie dla mnie...

Kiedy zorientowałem się, jak bardzo jestem splukany, przypomniałem sobie naszą starą działkę i postanowiłem ją sprzedać. Wszystkiego parę krzaków agrestu i porzeczek, a do tego dwie zdziczałe jabłonki. Kupca znalazłem prawie od razu. W głowie nie chciało mi się pomieścić, po co małżeństwo emerytów kupuje ten, pożałuj Boże, ogródek. Kiedy moja żona się o tym dowiedziała, to na serio się wściekła. Przyszła do mnie z tym swoim panem dyrektorem i wykrzykiwała, że to była własność nabyta w małżeństwie i ona na pewno tak tego nie zostawi. Mnie wyzwała od oszusta, krętacza i podłego egoisty. Nie mogłem zrozumieć, skąd w ludziach bierze się tyle nienawiści, złości i jadu, który na co dzień zatruwa im życie.

Agnieszka twierdziła, że widząc to, co wyprawiamy, chyba pozostanie panienką do końca życia. Powiedziała, że nie ma ochoty zakładać rodziny, która lada chwila może się rozlecieć.

Jednak zasiane przez nią ziarno, zaczęło przynosić obfite plony. Wbrew moim protestom zamieściła ogłoszenie w gazecie. Napisała tak jakoś zwyczajnie: „Pan pozna panią” i niewiele więcej. Chciała, żebym miał przy sobie jakąś bliską duszę. Kogoś, kto mógłby ze mną pójść do kina, do teatru czy w niedzielę do kawiarni.

Okropnie się zdenerwowałem, bo myślałem, że ta sytuacja może mnie przerosnąć. Jednak z dnia na dzień do mojej skrzynki pocztowej zaczęły przychodzić kolorowe, pachnące koperty. Jakieś obce baby do mnie pisały. Kiedy otworzyłem dwudziesty list, pomyślałem, że sprawa wymknie się spod kontroli. Zastanawiałem się, co mam dalej robić. Nieznane kobiety chciały mnie poznać. Niektóre, jeszcze przed pierwszym spotkaniem, nawiązywały do ślubu.

Agnieszka stała się wypytywała mnie, co słychać w sprawie ogłoszenia. O moich pierwszych trzech spotkaniach w ogóle jej nie powiedziałem. Trudno było mi się przyznać do tego, że mając pięćdziesiąt sześć lat, na nowo odkrywam randki. Ukrywałem te spotkania przed moją córką, jakbym się wstydził, że w tym wieku... Kombinowałem, że to chyba już nie dla mnie, a może nie powinienem. Na ten anons przyszło ponad dwadzieścia pięć odpowiedzi. Wybieranie najbardziej atrakcyjnych dla mnie ofert z grubego stosu kopert, było kapitalną rozrywką.

Następna była Milena. Miała sporą nadwagę, zaokrąglone biodra, ogromny biust i przesadny makijaż. Była bardzo miła. Do tego stopnia, że przegadaliśmy w kawiarni cały wieczór. Nagle zorientowałem się, że siedzimy tam już ponad trzy godziny. Kiedy dziewczyna wyszła z baru i zaczęła wycierać mopem podłogę, okazało się, że siedzimy w pustej sali, a pracownica ma zamiar kawiarnię zamknąć. Jednak Milena musiała wyjechać do córki gdzieś na Zamojszczyznę, pod ruską granicę. Wspominała coś o chorym wnuku, przy którym będzie musiała pomóc. Obiecała jednak, że jak tylko wróci, to natychmiast się ze mną skontaktuje.

Odbywałem coraz więcej spotkań. Nigdy u mnie w domu. Najczęściej w kawiarni, czasem w parku. Niektóre kobitki były mało ciekawe. Nie miały nic do powiedzenia, a w pierwszym rzędzie

interesowały się moim mieszkaniem, samochodem i ogólnie mówiąc osiąganymi dochodami. Z moją ciasną kawalerką i starym Polonezem, nie miałem u nich żadnych szans. Dwie były bardzo interesujące, ale żebym mógł wybrać tę jedną: najfajniejszą i najlepszą. Niestety, były dwie.

Ewa, wiedziała wszystko o świecie filmu i kto grał w jakich produkcjach. Była bardzo czytana i świetnie nam się rozmawiało. Z kolei Mariola była niezwykle zabawna, inteligentna i przyjazna. Bardzo lubiłem te nasze spotkania.

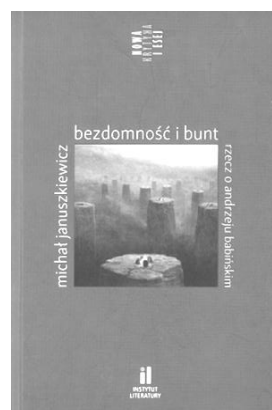
W ten sposób zacząłem się umawiać z dwoma kobietami na zmianę. Ewa była najlepsza na wyjścia do kina, teatru, czy na koncert w filharmonii. Z Mariolką wychodziliśmy na lody, na obiad, a czasami wieczorem gdzieś potańczyć.

Nie da się ukryć, że spodobało mi się. Kiedy nasze dzieci wyprowadziły się z domu, a ja nagle przestałem pracować, moje życie stało się monotonne i przykre. Rozwód był dla mnie prawdziwym wstrząsem. Ale teraz wszystko się pozmieniało. Poczulem wiatr w plecy. Zachwycało mnie to moje nowe życie. Wreszcie nie miałem czasu na nudę. Trochę się martwiłem, bo moje postępowanie było, mówiąc delikatnie, na bakier z moralnością. Miałem wrażenie, że oszukuję moje nowe przyjaciółki. Ryzykowałem tylko tyle, że jedna dowie się o drugiej i stracę obie. Wiedziałem, że będę musiał którąś z nich wybrać. Nie sposób było ciągnąć taki stan rzeczy miesiącami, a tym bardziej latami. Wybór był trudny i cała rzecz się przeciągała.

Opowiedziałem o wszystkim Agnieszce mając nadzieję, że moja mądra i zawsze rozsądna córka rzuci mi z boku jakieś światło na mój dylemat. Niestety, zyskałem tylko zwykłe pouczenia, żeby nie pogrywać z ludzkimi uczuciami i na pewno sam najlepiej wiem, którą mam wybrać. A jeśli nawet nie wiem, to niech mi serce podpowie. Aga nie miała dla mnie żadnej rady. Widziałem jednak w jej oczach prawdziwe zainteresowanie moimi sprawami. Zwyczajnie połapała się jakie zmiany nastąpiły w moim życiu.

Musiałem wybrać samodzielnie. Coraz rzadziej spotykałem się z Ewą i z Mariolą. Denerwował mnie fakt, że nie mogę się ostatecznie zdecydować, z której mam zrezygnować. Wtedy odezwała się Milena. Wróciła już na stałe i zaraz koniecznie chciała się spotkać.

Kobiety mojego życia zaczęły się mnożyć.



Michał Januskiewicz, „Bezdomność i bunt, rzecz o Andrzeju Babińskim”, Wyd. Instytut Literacyjny, Kraków 2024.

Kalina Izabela Ziola

Moniga del Garda

oświetlone wrześnieowym słońcem
jezero Garda lśni
w ażurowej koronie Alp
jak zaręczynowy pierścinek
beztrosko porzucony
przez niewierną dziewczynę

wokół drzemią ruiny zamków
i stare zamyślane świątynie
pomiędzy nimi
tunele pachnących słodko oleandrów
w których kryje się
kolorowy śmiech dzieci

tych miejsc nie można zapomnieć

będą do mnie powracać
w czasie jesiennej szarugi
w długie zimowe wieczory

a razem z nimi powróci
twój uśmiech ciągle chłopiący
smak pizzy najlepszej pod słońcem
i twoje zmęczone spojrzenie
pod koniec dnia

Janusz Urbaniak

Góra

leżę na wznak na podłodze
leżę na skorupie ziemi
na dnie wielkiego morza
leżę w trumnie siny
i dotykam czubków sosen
jest lato jestem młody
i tak samo bezradny
jak dziś
leżę na dnie oddechu
na powłóce czasu
na kropli kobiecej krwi
jestem bezwładny
nieprzytomny
coś we mnie toczy się
obrazami
leżę i czekam
ja płaskość
cienizna
pod wysoką górą
którą nazwali życiem

Jacek Juszczak

Wieczór autorski

Pamięci Marka Słomiaka

Wczorajszy Hamlet profesjonalnie
Przebił szpadą ciało wiersza
Sprytnie ukryte za kotarą formy
Wiersze nie odczuwają bólu
Chyba że cichutko czyta je Ofelia
Unosząca się w błękicie słów
Na fali przerywanej pluskiem
Fraz wersów biegnących
W głąb sali omroczonej
Żarówkami do wymiany
Teraz ze światłem ściśniętym
Jak wszechświat zanim
Powstał z niczego
więc ze wszystkiego
A przecież wiersz często
Jest traktatem z gęstwą
słów zmieszanych
Z oddechami powietrza ciężkiego
Od opornych powiek
Przyjaciele krewni znajomi
Dyskretnie poprawiali
Wiązanki w sam raz
Na trzy pogrzeby
W ciszy ostatni szept
Wiersza jak skowyt Poloniusza
Co kiedyś był aktorem
Na ostrzu szpady starty napis
Reszta jest ...

Stefania Pruszyńska

Nokturny z liry nocy

Mojemu śp. mężowi Tadeuszowi Antoniemu Goleni

Odszedłeś jak zmęczony pielgrzym nagle
w zwątpieniu zdejmujący drogi ze stóp.

Zostawiłeś ślady zatarte tępych tupotem
pospiesznej codzienności. Lata przeniknięte
mackami złych sług historii, gdy beznadzieje
uśmierzała wiara i godność, a zadawane
upokorzenia pokonywała prawda i odwaga.
Lata karmione łzami, które się wyuczyły
skrywania od ptaków instynktownie
milknących przed drapieżcami. Lata
apogeów zmagania w lęku o chleb na stole
i z pytaniami zadawanymi szeroko otwartymi
oczami dzieci. Tak wiele nam trzeba było
solidarnie i wytrwale ze sprawiedliwymi
w zdzieraniu szat błazeństwu, kłamstwu,

fałszowi i niepoliczalnemu barbarzyństwu

w epoce wolności bez wolności...

Krystyna Mikołajewska

* * *

Na moście
między jawą a snem
toczy się akcja
d'jà vu

niby ona jest tam
a przecież tu
mimo woli
zjawił się jego obraz
wypełnił całą ją
lewituje bezwolna

kosmiczna energia
przez labirynt galaktyk
tantrycznym przekazem
przenosi
w świat ekstazy
spełnień

w wyciągniętych dłoniach
znowu
pulsują ich serca

nadchodzi Różanopalca
wstaje dzień ...

Igor Frender

Pokój

Kaleczę się w palec.
Kropla cukru miesza się z herbatą.

Zimna wódka w kieliszku,
na talerzyku cytryna.
Rozmywa się twoja suknia w mętłym
spojrzeniu.

Zanim wyjdę, jeszcze zapytam,
czy drzwi są otwarte. Czy znowu wyskoczę
przez okno?
Na parapecie masz pełno kwiatów,
nie chcę zadzierać z przyrodą.

Wieczne wiadomości są jak nieheblowane
deski na łóżku przy kaflowym piecu.

Darujmy sobie poglądy.
W życiu potrzebujemy dialogu
a nie milczenia.

Ewa Moskalik

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 89/2024

Samotność

Mieszka w domu
z lustrem o jednej twarzy
z jednym cieniem rzucanym
przy wieczornej lampie

gdzie pierwsze i ostatnie skrzypce
gra liczba pojedyncza
z gramatycznymi wyjątkami
od reguły

tutaj drzwi nie otworzą się w dwóch pokojach
jednocześnie
nikt jednocześnie nie zakaszle
nie zaskrzypi podłoga w dwóch miejscach
naraz

tu milczy się pojedynczo
w pojedynczej ciszy pije
pojedynczą herbatę

na posadzce schną ślady mokrych stóp –
lewa
zawsze z krzywym palcem
po złamaniu

w oknie ta sama głowa
raz po raz
wygląda deszczu

czasami dzwoni telefon
z podwójnym zaproszeniem
na promocję

Michał Sławski

Oszukany

Czy byłeś już w kościele
czy pomodliłeś się o moją rogatą duszę
czy zapaliłeś kadzidła w intencji
mojego zbawienia?

Wiesz, że pije bo jesteśmy tak daleko
wiesz, że ćpam drobne zwyrodniałe
przyjemności
by zapomnieć o Tobie i tym wszystkim
rozdzielił nas nie tylko światopogląd

Mógłbym i nawet uwierzyć
mógłbym i nawet klęczeć przed krzyżem
Gdybyś tylko mnie chciała
gdybyś nie odeszła dla Niego

Nigdy Ci tego nie wybaczę
Teologio

Stanisław Szwarc

O różnicy między chczeniem, a zachcianką

Zdziwiłem się bardzo, przeczytawszy tekst, w którym narzekaniu na niski poziom młodej poezji – że to totalna swoboda bez hamulców i zasad – towarzyszyły bardzo nieładne słowa o owsiakowym zawołaniu – „Róbta co chceta”.

Tak, Jerzy Owsiak istotnie sparafrazował słowa św. Augustyna: „Kochaj i czyn, co chcesz”, jednak od strony literackiej uczynił to rewelacyjnie. Gdybym był twórcą reklam, natychmiast zwróciłbym się do pana Jerzego z prośbą o zgodę na parafrazę jego hasła.

„Myjta, co chceta.” – czy to nie świetna reklama uniwersalnego szamponu?

„Pijta, co chceta.” – hasło pubu, w którym podają sześćdziesiąt gatunków piwa.

Czy Jerzy Owsiak się reklamuje? Oczywiście, że tak. Ewangelicznie – owocami swojej działalności.

A tak na poważnie. Hasło Jerzego Owsiaka powstało zaledwie dwa lata po tym, gdy skończyły się czasy, w których nie można było robić tego, co się chce. Wyrażało nareszcie odzyskaną wolność. A wolność nie jest łatwa. Już nie można zwalić odpowiedzialności na złą władzę, na partię, która coś tam nakazała czy zakazała. Młodsze pokolenie może nie dowierzać, ale będący przy zdrowych zmysłach dyrektor czegośkolwiek, nie mógł pozostawić wywieszonej pierwszomajowej flagi do trzeciego maja. Choćby się jak najbardziej chcieli słusznie skrytykować nonsensy tamtego systemu, to nie można było tego wyrazić publicznie, a i prywatnie należało być ostrożnym.

Można czegoś odpowiedzialnie chcieć i można mieć zachciankę. „Dziś mi się chce, a jutro nie.” Uczciwie przyznaję, to nie całkiem moje myśli, ale ciągle pamiętam, jakie wrażenie zrobiły na mnie te słowa w tekście nieodżałowanej pamięci księdza profesora Józefa Tischnera, napisane w tym samym czasie, gdy Jerzy Owsiak wymyślił swoje zawołanie. Owsiak mówi – jesteś wolny, możesz robić, co chcesz – ale równocześnie podsunęta pod oczy puszcza wolontariusza podpowiada właściwą decyzję. Właśnie podpowiada, a nie nakazuje.

Wrzucam do puszeki – bo tak chcę.

Chodzę z puszką na styczniowym mrozie i ryzykuję przeziębienie – bo tak chcę.

Maluję obrazki, dziergam serwetki, lepiej z niepełnosprawnymi podopiecznymi figurki z gliny i wystawiam na aukcji WOSP – bo tak chcę.

Przemieniam własną popularność sportowca, artysty, polityka na liczbę zdobytych dla WOSP złotych – bo tak chcę.

Słęcę do późna w noc nad liczeniem banknotów i drobniaków – bo tak chcę.

Można oczywiście powiedzieć, że styczniowy finał WOŚP to taki happening, że jest moda na Owsiaka. Tylko dziwna to moda, która po trzydziestu z górą latach nie wygasa, a wciąż rośnie. Że ma wydźwięk polityczny? Jak ma nie mieć, skoro jedna

ze stron politycznego sporu w Polsce potrafi tylko szkalować WOŚP i jej twórcę.

Moda sama w sobie nie jest niczym złym, trzeba tylko pamiętać, że jest ona wyrazem egocentryzmu. Noszę modne ciuchy, wypowiadam modne poglądy, farbuję włosy, tatuuję ciało, wpinam kolczyki gdzie się da – bo chcę akcentować własną osobę. Pewnie, można ostentacyjnie mocować się z wrzuceniem do puszeki pięciu stów naraz, albo chwalić się kolekcją wylicytowanych złotych serduszek, ale zawsze idzie za tym altruistyczna świadomość wyświadczanego dobra.

Wracając do meritum wspomnianej na początku wypowiedzi – czy hasło Jerzego Owsiaka ma coś wspólnego z literaturą? Pewnie, że ma. Nie byłoby przemian w sztuce, gdyby różne takie Wyspiańskie, Manety, Debussy, Calvino, Rodiny nie robiły właśnie tego co chciały, nie patrząc na obowiązujące kanony, narażając się na opinie szalonych awangardzistów. Jedno jest tylko zastrzeżenie. Wszystkie te nowości muszą jednak mieć w sobie coś, co trudno jest jednoznacznie zdefiniować. Artystyczny sens, który służy innemu niż do tej pory wyrażaniu myśli, innemu oddziaływaniu na odbiorcę. Nie mogą być tylko epatowaniem, a więc egocentrycznym mizdrzeniem się autora – nieważne czym – seksem czy ascezą, wulgarnością czy słodkim sentymentalizmem, czy jeszcze czymkolwiek.

Róbta, co chceta.

Nie da się opisać świata meneli językiem chińskiego arystokraty.

Wokół literackich Grażyn i Januszów może spokojnie unosić się atmosfera kiczu.

Żeby trafić do współczesnego odbiorcy, nie można posługiwać się rozwlekłymi, drobiazgowymi opisami żywca z Orzeszkowej.

Kilkustronicowy poemat trafi na półkę po przeczytaniu dziesięciu... no, może piętnastu wersów.

Można natomiast pisać powieść, zawieszając kolejne fragmenty na portalu społecznościowym i wsłuchując się w pomysły podsuwane przez czytelników. Nic nowego, tylko technika inna. Już do Sienkiewicza pisali listy czytelnicy „Słowa”.

Pewnie, że obserwuje się zalew literackiej tandety. Trzeba tylko pamiętać, że w odróżnieniu nawet od czasów PRL mamy niebywały wzrost łatwości komunikowania się i publikowania tekstów. Co dopiero myśleć o wcześniejszych epokach, które wydają się nam takie skostniałe. Nic tylko same Kochanowskie, Morsztyny i Mickiewiczze. A przecież kulturą wysoką interesował się wtedy bardzo niewielki odsetek społeczeństwa – a i tak można iść o zakład, że renesansowych, barokowych czy romantycznych grafomanów było co niemiara, tylko – jak to grafomani – nie przetrwali do naszych czasów. Rymotwórcze wycpiny szlacheckich panów braci niewdzięcznicy z następnych pokoleń bezceremonialnie zużyli na fidybusy i papiloty. A jeśli nawet przetrwały, to śpią zasłużonym snem w mroku bibliotek i archiwów.

Piszta więc, co chceta, tylko pamiętajta, żeśta są wolni, więc odpowiedzialni za słowo. I pamiętajta, że choćbyście się uważali za równych Miłoszowi, to i tak należyta do którejś tam literackiej ligi i lepiej dla was, gdy będzieta wiedzieli, która to liga i czuli dumę z przejścia na przykład z piątej do czwartej.

Sny o utopii

Tak chciałoby się... cofnąć czas, przestrzeń i nasze zaniechania. Tak chciałoby się odrodzić z popiołów na nowo, w zmodyfikowanym na naszą korzyść świecie, sytym ojcowską troską, ufnością, przesywaną nie tylko czczą wiarą, lecz pewnością w jego Istnienie. Bo właśnie temu słowu, zapisanemu wielką literą, w moim odczuciu Łucja Dudzińska dedykuje zebrane w niniejszym tomiku wiersze, spisane na przestrzeni dwudziestu sześciu lat (1972-1998). Dlaczego Istnienie a nie Samotność? Przecież to ona podpowiada nam już w tytule tego spotkania. Można by z pewnością napisać wielki traktat na jej temat, rozpoczynający się od słów: „*Błogosławieni samotni...*”. Ale zaraz. Kto jest samotny? Czy ten, który wpatrzony błędnymi oczami w oblicze drugiego człowieka, łaknący jego komplementów i dopełniania swej nieokreśloności, próbujący zagłuszyć swój ból wtuleniem się w przypadkowe ramiona? Czy może ten, którego potrzeba bycia ważnym zniknęła; ten, kto jest całkowicie zadowolony z siebie takiego, jaki jest. Ktoś, kto nie potrzebuje nikogo, by mu mówić: „Jesteś bezcenny”. Jego znaczenie jest bowiem wewnątrz niego, a nie w kapryśnych spojrzeniach innych ludzi – w półbogach decydujących kciukiem swojej ręki o naszej w ich świecie wielkości oraz przeznaczeniu.

W wierszach Łucji Dudzińskiej dotykamy obu tych samotności niemal równocześnie (*jestem samodzielna i sama – w tłumie*), jednak dość naskórkowo, ledwie ocieramy się o nie, by udać się dalej, w nieco inną przestrzeń. Z każdym następnym wersem, wnিকamy głębiej, niczym oddech przez usta. Tak, to przecież właśnie tam przesypuje się piasek słów, które nie dają żadnej nadziei ani ukojenia. Bo słowo, choćby zakłęte w najpiękniejszy wers, nie może być uzdrawianiem ducha, jak wyrażone zostało to *expressis verbis* w „Kartce bezpieczeństwa”:

wiersz nie powinien być autoterapią / nie może być prognozowaniem przyszłości / potkniesz się na pierwszej przeszkodzie / i nie wstaniesz (...).

Zatem jeszcze głębiej, w mrok immanencji i skowytu duszy o ukojenie tego rozdarcia, które roztrwania każdą próbę wrażliwej egzystencji ku byciu prawdziwym.

Urodziłam się pod znakiem Bliźniąt / mam słoneczne i pochmurne dni / księżycowe i mroczne noce (...). - tłumaczy się w wierszu „Pół na pół” dziewczyna, ale wiemy, że to błaga. Znak zodiaku nie usprawiedliwia żadnego egzystencjalnego rozszczępienia.

W niemal konfesyjnej odświeżeniu wiersza wyczuwamy szczerłość i próbę rozpoznania się w tej szalonej ekwilibryście życia. A kto nie zechce tego pojąć, zobaczy tylko zasłonę:

dwie twarze – dwie tarcze – dwie strony medalu / awers i rewers pocztówki ze zmyślonych wakacji / dwa serca to w środku i na dłoni (...).

Tomik „Samotność kinomana. Geneza” został tak pomyślany, że w trzech jego częściach (Apostrofa, Geneza, Postscriptum) poznajemy trzy różne oblicza kobiety-artystki i jej wysiłku, by ujarzmić myśli, dać im ujście w wiersz, posypać nimi niczym białym pudrem ranę. To nic, że pod

spodem będzie jątrzyło się ciemne źródło bólu, może jednak nikt tego rozdarcia nie zauważy? W *Apostrofie* składającej się z pięciu utworów o tytułach wyrażonych w formie imperatywów: Decyduj, Wspominaj, Czytaj, Czekaj, Żyj – poszczególne wersy układają się we wspomnienia. Na przekór heraklitejskiemu pogładowi na naturę świata – ich bohaterka chciałaby wejść raz jeszcze do tej samej rzeki, ale z innymi przekonaniem, z głową cięższą o pozyskane doświadczenia:

(...) Nie oznacza to, / że chcę przeżyć siebie jeszcze raz. Przeżyć myśli, / słowa, na chwilę zatrzymać bieg rzeki. Może / wystarczy zmącić wodę, która kiedyś spłynęła / przezroczyta do stóp dorastającej dziewczyny? (...) („Wspominaj. Geneza”)

Jakie to proste: *wystarczy zmącić wodę*, prawda? Tylko co dalej. Czy w tym mule zobaczy się więcej? Czy zmącenie obnaży prawdę, czy raczej znów ją od nas oddali, rozproszy, rozszczepi na drobiny (nie)istnienia? Poza tym, takie myślenie – „mącenie wody” – może być niebezpieczne, doprowadzające do odbezpieczenia zawlecarki i niekontrolowanej eksplozji.

(...) złudne chwile radości szybko gasną / wybuchają odłamki przemijania / ranią serce przerywają sen / i rozgrywkę w sens życia (...) (matka)

W swojej *Genezie* Łucja Dudzińska wychodzi od prostej obserwacji: żyjemy w świecie, w którym już nikt nie musi nas wyzyskiwać, bo- wiem sami siebie wyzyskujemy. Ekscesywne życie może prowadzić do zawału duszy. Rozpadają się wówczas wszystkie dotychczasowe powiązania, również z samą sobą.

(...) zapomniałam być / zapomniałam myśleć mówić / uciekałam / przestałam być sobą / a za mną i przede mną – życiobycie / - zatrzymasz mnie / - teraz?(...) (rejstry)

Remedium na ten stan zawieszenia – na *życiobycie* – jest odwrót od siebie w stronę Istnienia. I w tym oto momencie wracamy do tego, co zostało wyrażone już w pierwszych słowach próby interpretacji *Samotności kinomana...*: Istnienie jako imperatyw moralny, Istnienie jako naczelna i najważniejsza zasada życia, postawiona niczym wykrzyknik przed samotnością i innymi próbami określenia naszej egzystencji.

Cisza – to przywilej słuchania, nieposiadania opinii w świecie bombardowanym informacjami. Więc na koniec dopisek – *Postscriptum* – który odczytuję jako odwagę uwierzenia w prawdę, czyli przekroczenia natłoku informacji. Świat, do którego zaprasza nas Łucja, jest światem odmitologizowanym, odczarowanym, bliskim naszej pokaleczonej rzeczywistości. Diagnoza jest prosta: musimy mieć siłę, aby zmierzyć się z prawdą różną od naszych pragnień oraz przekonań. Ale czy ta myśl jest aby na pewno kusząca? Czy nie jest szpetna, wytarta, zmechacona? A może takiej myśli dziś potrzebujemy – starej prawdy na nowe czasy. Kto wie.

Łucja Dudzińska, „Samotność kinomana. Geneza”, (niepublikowane wiersze z lat 1972-1998), Wydawnictwo FONT, Poznań 2022.

Maciej Pająk

Niezdara

„Zawalcz o swoje, nigdy się nie poddawaj” –
powiadają.

Cóż jednak czynić ma osoba,
która nie urodziła się wojownikiem?

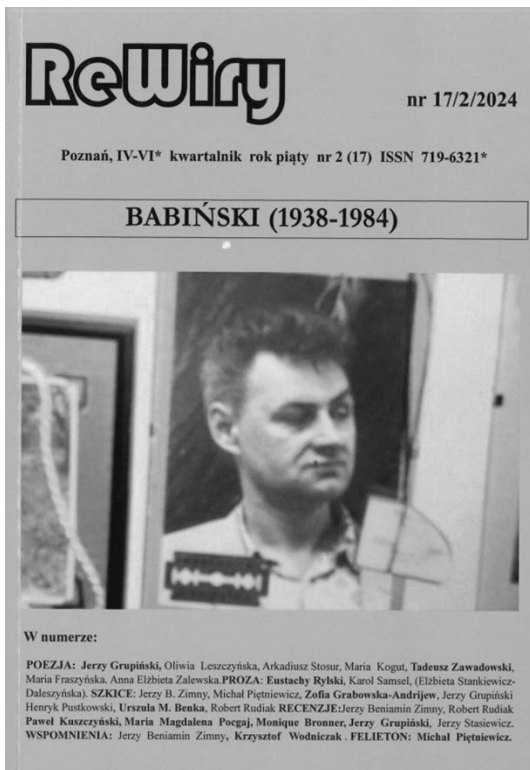
Nienaostrzoną szpadę trzyma niezdarnie.
Potyka się o kamienie,
gubi się w wysokich trawach niemocy.
Jąka się w czasie kłótni.
Podczas pojedynku
w rewolwer zamiast naboju
ładuje pestki czereśni.

Cóż wtedy?

Spartanie przezornie zrzucali
słabe noworodki z ponurej skały

„Dlaczego gardzicie słabością?” –
Pyta Zaratustra.

Przecież każdy – nawet najślabszy oddech
jest niezbędny dla wieczności wszechświata



Redaktorzy: Jerzy B. Zimny (red. naczelny), Anna
Andrych, Zbigniew Gordziej,
Maria Magdalena Poczaj.

Małgorzata Łyssowska-Szczęśna

Gdyby...

uciekać mi przyszło
wzięłabym Krowę darowaną przez Ann
dziewczęcę - różową bombkę
Byłam krową
na każde wezwanie pełna mleka
Zabiorę krowę gdyby uciekać mi przyszło
Mieć ją przy sobie to... mieć wszystko
Zabiorę krowę w niej
całe moich dzieci dzieciństwo –
masło maślane
zabiorę...
Krowę gdyby nie daj Boże...
bierz ją

Maria Kogut

* * *

Oczy niekochanych kobiet
są puste
na ich dnie zgasła
ostatnia iskierka nadziei
mechanicznie wykonują
codzienny zestaw gestów
utrzymujących je przy życiu
są jak złamane drzewo
bez liści bez owoców
bez gniazd ptasich
w ramionach
i tylko czasem
w nocie roziskrzone gwiazdami
tęsknią do swojej połowki
zagubionej we wszechświecie

Joanna Daszkiewicz-Bielecka

* * *

czy on już wie? jak to działa? że
tylko coś kruchego zrównoważy
gwałtowność? a
jeżeli się nie powstrzyma? jak
muszła ona
pęknie

po zmroku dlatego w
świeżo zapalonym ogląda
obraca otwiera i zamyka czasami jak
szpony są rozchyła siłą i
z bólu syczy po palcu
palec skurcz nadgarstków. Pięść
do ataku i obrony

nie może z takimi rękoma iść. Do niej?
a przecież głowę w nie kładzie bez
strachu. Oczy zamyka

Danuta Ewa Dachtera

Celiny Lesiewicz – „Ścieżki, zaułki, wiersze...”

Celina Lesiewicz - (1974) absolwentka filologii polskiej na UAM w Poznaniu, pisząca wiersze, reportaże oraz dzienniki. Autorka publikowała w zbiorowych wydawnictwach poetyckich: *Między pustymi imionami* (SPP 1992), *Dość słów* (wiersze przyjaciół ze Stowarzyszenia Pomocy Osobom Niepełnosprawnym „Satis Verborum”, w którym była wolontariuszką w okresie liceum oraz studiów), *Daję słowo. Antologia 50-lecia Poznańskiego Klubu Literackiego* oraz czasopismach: „Protokół Kulturalny”, „W drodze”, „Lampa i iskra boża”, „AKANT”, „Echo Piątkowa”. Pracowała jako bibliotekarka, dziennikarka radiowa, nauczycielka. Przyjaźniła się ze śp. Ryszardem Kapuścińskim. W latach 2000 i 2005-2007 mieszkała razem z mężem Leszkiem i córką Olgą w Paragwaju. Tamże była członkinią paragwajskiej grupy literackiej „La mesa de Borghes”. Od 1999 roku do 2014 roku, z przerwami mieszkała w Niemczech, w Bonn; obecnie Poznanianka. Biogram Celiny Lesiewicz, pomaga nam zrozumieć fenomen jej różnorodnej twórczości – bo to nie tylko literatura faktu – reportaże, literatura dokumentu osobistego – dzienniki, lecz także wiersze odśladające sferę psychiczną – emocji i myśli podmiotu lirycznego.

Literatura dokumentu osobistego reprezentowana jest w twórczości Celiny Lesiewicz przede wszystkim poprzez jej dzienniki, noszące nazwę „Ścieżki i zaułki”. Rozpocznijmy podróż tymi ścieżkami oraz zaułkami w okresie od ósmego lipca do 20 grudnia roku 2023. (to odcinek 7 i 8. drogi), do której to właśnie wyprawy w czasie zaprosiła mnie autorka dzienników. Warto np. zwrócić uwagę na fragment dzienników z dnia 8 lipca 2023 roku, soboty, relacjonujący dwa zdarzenia na osiedlu mieszkaniowym: w warzywniaku i markecie. To nie tylko reporterka, bo dzienniki zawierają w sobie element reportażu z przeżytych zdarzeń, lecz także empatyczne pochylenie się nad losem ciężko pracujących w osiedlowym warzywniaku osób, domnianym cierpieniem dziecka, któremu zaginęła papuga, o czym powiadamia zamieszczone na słupie ogłoszenie. Po prostu wrażliwość na los drugiego – dorosłego, czy dziecka – bez różnicy. Udały początek wyprawy do świata ukazanego przez Celinę Lesiewicz. Wyprawa „Ścieżkami i zaułkami” przebiega chronologicznie, dotycząc wybranych przez autorkę dni, zapewne tych wartych zauważenia. 12 lipca zaprasza nas... do świata swoich wspomnień, które wywołuje spotkana u ojców karmelitów osoba. Wspomnienia dotyczą Wspólnoty „ARKA”, mieszczącej się także na osiedlu mieszkaniowym pisarki. Omawiając „Ścieżki i zaułki” Celiny Lesiewicz nie sposób tego ich fragmentu pominąć. Autorka pisze: „We Wspólnym domu, zgodnie z założeniami twórcy tej organizacji – Jeana Vanier – mieszkają w jednym domu ludzie niepełnosprawni, głównie z niepełnosprawnościami intelektualnymi i ich zdrowi opiekunowie”.

Pisarka przybliżyła nam ten świat, opisywany poprzez jej wrażliwość. Wyznaje także, że pokołała „tę Wspólnotę całym sercem”, dodając: „z uwagą wysłuchali mnie, gdy odważyłam się na modlitwie opowiedzieć o swoich problemach”.

Celina Lesiewicz pisze, iż jej Mąż (celowo używam za autorką wielkiej litery), Leszek

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 89/2024

jako student romanistyki, „aby podszkolić język, pracował jako asystent właśnie w „ARCE”, we francuskiej miejscowości Cognac”, stąd bliski jest mu ten klimat. Podkreśla, że pomagała ludziom niepełnosprawnym i chorym przez całe Życie (pisownia wielką literą jak u pisarki), a w okresie liceum i studiów była wolontariuszką w Stowarzyszeniu Pomocy Osobom Niepełnosprawnym „SATIS VERBORUM”, dodając, że jej śp. Mama (celowo, jak u poetki wielka litera), poseł SLD, Ewa Lewicka-Łęgowska, była osobą niepełnosprawną po polio. Twórczyni daje wyraz swoim przekonaniom słowami: „CHWAŁA DOBREMU PANU BOGU ZA WSPÓLNOTĘ „ARKA”!!!”. Każdy dzień opisywany w dzienniku Celiny Lesiewicz niesie nowe spostrzeżenia i refleksje, a jej „Ścieżki i zaułki” warto po prostu przeczytać. Można tutaj doszukiwać się wiodących tematów, powtarzających wątków. Niewątpliwie ujawnia się wrażliwość autorki na potrzeby drugiego człowieka. Autorka zwraca uwagę na temat zdrowia psychicznego, zwłaszcza młodych ludzi, ilustrowany opisem eventu, przygotowanego przez Panią mgr Patrycję B. – M., psychologa, z którą pisarka współpracuje (i tutaj także szacunek dla osoby podkreśla wielką literą w słowie pani). Poza rozmową, bliskim, ciepłym kontaktem, pochyleniem się... Osoby, z którymi jest blisko, często, podobnie jak ona, cenią religię katolicką (przykładowo jest tutaj opis uroczystości – koronacji obrazu Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus Uzdrawienia Chorych w Smolicach koło Gostynia. Ważne są także zdarzenia związane ze środowiskiem ludzi sztuki, szeroko rozumianej np. Galerii Jerzego Piotrowicza (autorka pełni tam dyżur jako wolontariuszka), co jest okazją do spotkania interesujących osób, inspirowanych rozmów oraz refleksji. Pisarka należy do Klubu Literackiego „Dąbrówka”. Wśród spotkań związanych z „Dąbrówką” Celina Lesiewicz uwagę poświęca jubileuszowi 50-lecia pracy twórczej poznańskiego malarza i poety – Jana Wojciecha Malika, 24 października 2023 roku spotkaniu z gościem specjalnym profesorem Sultanem Catto, jednocześnie poetą, wreszcie Wigilii klubowej – 12 grudnia minionego już roku. Opisuje także Wigilię poznańskich artystów i literatów, zorganizowaną przez Jolę Ciecharowską w Starej Prochowni na Jeźcach.

Dzienniki opisują doświadczaną przez autorkę rzeczywistość, także zapraszają do jej świata postrzegania zdarzeń, ludzi... W takim znaczeniu są subiektywne. I dobrze, gdyż jednocześnie, będąc autentycznymi, wzbogacają naszą wiedzę o bliźnich. Wiersze i reportaże Celiny Lesiewicz domagają się osobnego omówienia, gdyż niewątpliwie są tego warte.

Danuta Ewa Dachtera-(1957) - Laureatka nagrody magazynu KAMENY Łódź-„ZŁOTA KAMENNA” 2022/23, w którym prowadzi dział WIELKOPOLSKIE WIEŚCI. Psycholog, nauczycielka, biolog; pisze wiersze, recenzje, artykuły publicystyczne, eseje. Prowadzi zajęcia propagujące wiedzę literacką, zachęcające do pisania w grupie „Przyjaciele słowa” w Bibliotece Pedagogicznej w Swarzędzu. W roku Wisławy Szymborskiej 2023. przeprowadziła cykl wykładów jej poświęconych, skierowanych do swarzędzkich i poznańskich seniorów oraz uczniów Akademickiego Liceum Ogólnokształcącego w Gnieźnie. Autorka książek poetyckich – „Moje Macondo” (2018) oraz „Więź poza śmierć” (2021).

Konrad Sutarski laureatem węgierskiej Nagrody Duchowego Obrońcy Ojczyzny

Miło nam przypomnieć, że nawiedzający swą Ojczyznę w 90 roku życia polski pisarz na Węgrzech – Konrad Sutarski jest laureatem Nagrody Duchowego Obrońcy Ojczyzny. Laudację, której fragmenty zamieszczamy, wygłosiła wybitna poetka Katalin Mezey.

Katalin Mezey

Laudacja

Konrad Sutarski został osierocony w młodym wieku jako syn polskiego oficera zamordowanego przez Sowietów w Katyniu. Jego późniejsze, szokujące wiersze boleśnie przywołują tragiczną pamięć o utraconym w młodym wieku ojcu. Po ukończeniu szkoły średniej Konrad rozpoczął studia na Wydziale Mechanizacji Rolnictwa Politechniki w swoim rodzinnym mieście, gdzie w 1958 roku uzyskał dyplom magistra inżyniera mechanika. Doktorat z rolniczych nauk technicznych uzyskał w 1969 roku na Uniwersytecie Budapeszcie-Gödöllő, gdyż podczas podróży na Węgry zakochał się w Węgierce, którą poślubił w 1962 roku. W 1965 roku młode małżeństwo zdecydowało się przenieść na jakiś czas na Węgry. Sutarski rozpoczął pracę w budapeszteńskim Instytucie Rozwoju Maszyn Rolniczych, gdzie między innymi zaprojektował udaną maszynę do zbioru fasoli szparagowej, która zdobyła główną nagrodę na Międzynarodowych Targach w Budapeszcie w 1973 roku, a która przez więcej, niż dekadę była produkowana i dystrybuowana w krajach socjalistycznych. W związku z tym, wśród innych znaczących wyróżnień, otrzymał w 1977 r. złoty stopień nagrody „Wybitny wynalazca”.

Jego kariera poety i pisarza rozpoczęła się także w Poznaniu: jako członek pokolenia literackiego 1956 roku był współzałożycielem w 1956 roku legendarnej grupy literackiej „Wierzbak” w Poznaniu, która w latach 1957-1961 organizowała ogólnopolskie festiwale poetyckie – po raz pierwszy w historii literatury polskiej. Jego wiersze ukazywały się już wówczas w różnych czasopismach i antologiach literackich, a jego oryginalny, poetycki głos szybko zwrócił na siebie uwagę. Przeprowadzkę na Węgry Sutarskiemu ułatwił fakt, że na początku lat sześćdziesiątych zaprzestała działalności grupa poetycka Wierzbak. Nie chciał jednak oddalać się ani od ojczyzny, ani od polskiego życia literackiego - stale publikował wiersze i węgierskie reportaże w swoich rodzimych gazetach i czasopiśmie literackich.

Jednocześnie „już w drugiej połowie lat sześćdziesiątych zaangażowałem się w życie literackie tutaj (na Węgrzech) (...) W latach siedemdziesiątych, dzięki rekomendacji Sándora Csoóri i Sándora Weöresa, ukazał się także tom moich wierszy wybranych, opublikowanych na Węgrzech w serii „Nowy Pegaz” w wydawnictwie „Europa”, która prezentowała poezję światową” – wspomina

później swój drugi start poetycki. Wkrótce Sutarski pojawił się także jako tłumacz poezji węgierskiej. W 1980 dokonał wyboru i zredagował, a także częściowo przełożył na język polski tomy wierszy Radnótiego (w 1980) oraz Csoórieo (w 1981) oraz pierwszą antologię powojennej poezji węgierskiej (w 1985), wszystkie trzy wydane w Krakowie. Zdawał sobie sprawę, że w Polsce warunki węgierskiej cenzury nie są traktowane tak rygorystycznie, dzięki temu mógł przybliżyć polskim czytelnikom także wiersze autorów skazanych na milczenie na Węgrzech. Trudniej było mu publikować na ziemiach polskich poetów węgierskich zza granicy, a antologia ich utworów ukazała się ostatecznie dopiero po zmianie ustroju, w 1991 roku. Drugie, rozszerzone wydanie tego tomu ukazało się w 2007 roku, także dzięki pracy i staraniom ich tłumacza, Konrada Sutarskiego.

Jest jednym z pierwszych Polaków, którzy uzyskali obywatelstwo węgierskie, kiedy to stało się już możliwe w związku z wprowadzeniem podwójnego obywatelstwa między naszymi krajami. Od 1990 roku działał jako polski dyplomata: był pierwszym dyrektorem Polskiego Instytutu Informacji i Kultury w Budapeszcie po zmianie ustroju. Później został pracownikiem nowo powstałej węgierskiej satelitarnej telewizji kulturalnej Duna Televízió, gdzie nakręcił niejedną ciekawą i aktualny film o Polsce. W latach 1995-1999 i 2001-2007 Konrad Sutarski był pierwszym przewodniczącym Ogólnokrajowego Samorządu Mniejszości Polskiej, trzykrotnie wybieranym przez reelekcję. Na tym stanowisku w 1998 roku założył Węgiersko-Polskie Muzeum i Archiwum, które od 2006 roku działa jako ośrodek badawczy nad 1000-letnimi stosunkami historycznymi Polski i Węgier. Początkowo był kierownikiem placówki, następnie jej dyrektorem do 2014 roku, kiedy przeszedł na emeryturę. W uznaniu tej działalności otrzymał w 2013 roku nagrodę Pro Cultura Minoritatum Hungariae.

Ważnym obszarem działalności politycznej i organizacyjnej Konrada Sutarskiego jest to, że od 2011 roku pomagał w budowaniu przyjaznych relacji między nami, czyli Cywilnym Forum Solidarności Obywatelskiej a największą polską organizacją obywatelską – Klubami Gazety Polskiej. Niezapomnianymi wydarzeniami tej współpracy, które przyniosły znakomite rezultaty, były coroczne wzajemne wizyty obu organizacji, nasz wspólny udział w świętach narodowych i Marszach Pokoju. Spotkania, które dostarczyły nam trwałych wrażeń, zostały, niestety, przerwane przez wybuch wojny rosyjsko – ukraińskiej.

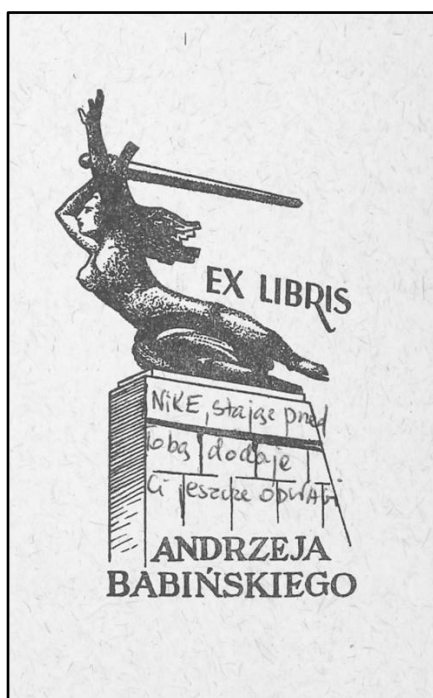
W 2021 roku ukazał się tomik wierszy Konrada Sutarskiego „Co przyniesiesz XXI. wieku”. „Zestaw tekstów tej książki mogę tym uzasadnić, że Europa w coraz mniejszym stopniu zachowuje swój tradycyjny charakter, a wiara chrześcijańska, zwłaszcza w Europie Zachodniej, zaczyna tracić swą rolę przewodnika moralnego” – pisał poeta o powodzie zaistnienia tych tekstów.

Na koniec chciałabym zakończyć moją laudację cytatem: Zrozummy, że misją obecnego tomu Konrada Sutarskiego jest wywieranie wpływu na Europę i narody świata (...) Dzieło życia Konrada Sutarskiego odnawia sztukę pisania, która reprezentuje Dobro i reprezentuje sprawę Człowieka, na skutek której dzisiejsi twórcy są przez to często odrzucani. (...) „Autorska wiara wiąże się z chrześcijańską symboliką Słowo – Ciało, z symbolami i wartościami historycznej Europy, których znaki chce przenieść, podać następnym pokoleniom Su-

tarski... Stąd i charakterystyczne dla tej poezji – pouczenie moralne, nieskrywany dydaktyzm. I wszystkie te autorskie przesłania byłyby trudne dla współczesnego czytelnika do udźwignięcia, gdyby nie pełen emocji, pasji postromantyczny język Konrada Sutarskiego. Zdania gorące, natchnione, wyobraźnia bogata, żywa, obrazy, metafory zaskakujące... Wszystko to sprawia, że wierzimy w te wiersze... W autorskie intencje... Słowa wielkie, spiżowe, marmurowe, dla których, zdawałoby się, nie ma już miejsca na wargach współczesnego człowieka, tu odzyskują wartość, barwę, siłę artykulacji. Znów nośne – żarliwe, ważne”- tak o żarliwej i inspirującej poezji Konrada Sutarskiego pisze polski poeta, redaktor i krytyk literacki Jerzy Grupiński.

Konrad nie odpoczywa nawet dziś: pracuje nad stworzeniem polsko-węgierskiej antologii wierszy w obronie chrześcijańskiej Europy pod tytułem „Na Anioł Pański biją dzwony”, którą chce wydać jeszcze w tym roku.

Jest nam niezmiernie miło, że możemy powitać w naszych szeregach Konrada Sutarskiego, jednego z tegorocznych laureatów Nagrody Duchowy Obrońca Ojczyzny i podziękować mu za niestrudzoną twórczość, która wzbogaciła literaturę polską i węgierską o ponad 60 tomów. Z tej okazji w imieniu nas wszystkich pragnę pogratulować wiecznie młodemu artyście, który w tym roku kończy 90 lat, i życzyć mu kolejnych owocnych lat spędzonych w pracy i zdrowiu!



Ekslibris z debiutu Andrzeja Babińskiego, ręką dopisek: „Nike, stając przed Tobą, dodaje Ci jeszcze odwagi.” Egzemplarz autorski z dopiskami w tekstach z księgozbioru J.G.

Anna Elżbieta Zalewska

Kotka

zadomowiła się w pokoju
kotka na parapecie
leniwie rozciąga patrząc
na otwarty świat
myśli błędzą
na tarczy dnia
nie wystarczą łyż
na balkonach
zawieszonych w kwiatkach

Jerzy Grupiński

Czy śpiewać każdy może?

Tytułowe słowa piosenki wywołał felieton Marii M. Poczaj zamieszczony niedawno „Na pulsie” (na stronie internetowej Poznańskiego Oddziału ZLP). Tytułowa samowola nie bardzo mnie martwi, bo daj Bóg, żeby nasze wiersze były samodzielne i samoistne. Oczywiście, autorka w tytule ma na myśli teksty pisane bez poczucia odpowiedzialności, bezkrytycznie wyrzucane z serca i wątroby, że nie wspomnę o innych ludzkich organach... Bronię jednak piszących, także tych bez większych szans, próbujących sił, u początków swej twórczej ścieżki. To także czytelnicy, twórcy społecznej, czytelniczej struktury – kultury naszego Narodu. Odczuwają potrzebę pisania, przymus... Tak więc oni muszą... Brak natomiast, obligatoryjnego aktu zmuszającego nas do czytania wszystkiego...

Autorka felietonu pisze: „wiersz biały zwany wolnym”. Tu może warto uściślić... Wiersz biały zachowuje regularne akcenty, zestroje, często staranną fonikę – melodię tekstu. Jest najczęściej pozbawiony rymów. Wiersz wolny nie zachowuje fonicznego metrum, regularności wersu, strofy, rymu i ...niby (na nieszczęście!) wszystko w nim wolno... Przypomnijmy tu, kunsztowne wersy wiersza białego (zwane też próbami polskiego heksametru) pióra Jana z Czarnolasu, w „Odprawie posłów greckich”, w partiach chóru oraz piękny fragment o łodzi żaglowej „O białoskrzydła morska pławaczko...” Także z Adama Mickiewicza, z „Konrada Wallenroda” – „Skąd Litwini wracali, z nocnej wracali wycieczki...”

Każdy może śpiewać ale nie każdy musi słuchać? Maria M. Poczaj prowokuje, (żartuje?) pyta, czy ktoś zna kryteria pisania dobrych wierszy... Idąc tym niepewnym tropem, może tak? Upraszczać, ryzykując – zapytajmy: Czy wiersz mówi mi coś, czego nie wiedziałem o ludziach, o sobie, o świecie? Czy język tekstu jest indywidualny, charakterystyczny dla tej poetyki? Czy język wiersza jest aktywny, tzn. kreatywny? I jeszcze coś powinno być w tym wierszu, żebym mu uwierzył... Ale co? I bądź tu mądry i pisz wiersze...

Kalina Izabela Ziola

Wołanie w pustkę

Nie miałam okazji poznać Andrzeja Babińskiego, choć wiele lat mieszkał w Poznaniu. Nie znałam też wcześniej jego twórczości, słyszałam tylko plotki, opowieści o szalonym, aroganckim i nieobliczalnym poecie, wywołującym burdy na ulicach, zrywającym spotkania autorskie kolegów i włóczącym się bez celu po mieście. I który pewnego wieczoru pofrunął z Mostu Marchlewskiego ku śmierci... Ostatnio otrzymałam, wydany przez „Okolicę Poetów” tomik Babińskiego pt. „Uwierzenie moje”. Jest to trudna książka, zarówno do czytania, jak i do opisanie. Gdyby nie szkic Dariusza Tomasza Lebiody „Szczelina w bycie” pełniący rolę wstępu, oraz „Odsłonięcie” Jerzego Szatkowskiego, to trudno byłoby mi ją zrozumieć. Tomik jest zbiorem wierszy, listów i urywków z notatek zmarłego poety. Nierozumianego, zagubionego w swoim własnym, mrocznym świecie, odrzuconego przez środowisko literackie, zakochanego do utraty zmysłów w niekochającej go kobiecie, balansującego wiele lat na krawędzi życia i śmierci. Listy sprawiają wrażenie chaotycznych, autor przechodzi w nich od zachwyty i miłosnych wyznań, do oskarżeń i pogroźek. Podobnie jest z notatkami – zdania często są niespójne, urywane, trudno się czasami zorientować, co właściwie opisują. Niełatwe jest także odczytanie wierszy, ale nie dlatego, że są niejasne, bo właśnie wiersze są czyste, wyczyszczone, o niezwykłym ładunku emocjonalnym i naprawdę piękne. Trudność polega na tym, że prawie każdy utwór przedstawiony jest w kilku wersjach. Poeta potrafił pisać jeden wiersz przez kilka lat, zmieniając poszczególne wersy, aż uznał go za skończony i doskonały.

Najwięcej jest odmian tytułowego „Uwierzenia Mojego”, a Jerzy Szatkowski twierdzi, że jest ich kilkadziesiąt! Poeta wyznaje w nim: *Jesteś Uwierzenie Moje która niczego mi nie zisćisz / Nic, co mógłbym od Ciebie przyjąć / Czy Twoja wiara we mnie płynęła z jasnowidztwa / Oblekała Cię onieśmienie / Czy byłem niegrzeczny mówiąc: proszę wstań z klęczenia / Uwierzyć we mnie to to samo co wstąpić do klasztoru. (* * *)*, a zaraz potem: *Jawisz się raz spotkana. Lustró odbija postać mej tęsknoty / Poglądasz z cichością oczu czułych. Przemiłcz nie umiem / choć chcę / - Niczego mi nie zisćisz. Nic, co mógłbym od Ciebie przyjąć. / Czy wiara Twoja we mnie płynie z jasnowidztwa? / Obleka Cię onieśmienie. („Uwierzenie Moje”) i dalej: *Jawisz się oczekiwana postacią wyteskniły Cię luba lustra / Ma użyczenie Twój tak namiętny miłości kształt, poglądasz / w cichości oczu czułych. / Niczego mi nie zisćisz. Nic co mógłbym od Ciebie przyjąć. / Czy wiara Twoja we mnie płynie z jasnowidztwa? („Uwierzenie Moje”)**

Każdy z tych wierszy... Gdy czyta się je po kolei, w różnych wersjach (a tyle jest w omawianej książce), to naprawdę może się zakręcić w głowie. Zapewne jest to wiersz bardzo ważny dla poety, dedykowany największej miłości Babińskiego – Krystynie Orłow. Adresatka wielu jego utworów była jedną z nielicznych osób, które przeczuły od razu wielki talent Babińskiego i wierzyły w niego.

Stąd pewnie tytuł „Uwierzenie Moje”. Autor poświęcił swej Muzie wiele pięknych liryków, subtelnych, delikatnych, w romantycznym stylu, jak na przykład: *Ptaki w Twój ogród zlatują / rosa na nasturcjach się stęcza / a ty się pochylasz nad kwiatami uśmiechnięta / w cichości oczu czułych /.../ W rozłące ty jedna znasz mój adres / a ja bez twojego zdjęcia nie wyruszam w podróż / Oczyrna swoimi na niebie zapaliłaś wspólną nam gwiazdę / I znów mam próg i klamkę i Ciebie na dłużej (* * *)*.

Ten wiersz też powtarza się wielokrotnie, poprawiany, zmieniany, co nie zawsze czyni go lepszym. Te ciągłe zmiany w utworach mogły wynikać nie tylko z dążenia do doskonałości, ale również z choroby psychicznej autora (cierpiał na schizofrenię paranoidalną i wielokrotnie był leczony w ośrodkach psychiatrycznych). Schorzenie to powodowało u Babińskiego również obsesję śmierci, która pojawiała się nawet w lirykach miłosnych: *A ona ukrada cieniowi ruch swych rąk / budzi mnie jej gorąc wejrzenia w torebkę. / ginie mi jej oczu brylant / jej cień nieodgadły, tajemny / że ledwie cień jej za nią skinął / w świecy płomyk musnął pobladły /... / wołę śmierci spojrzeć w oczy niż być u podnóża / jej stóp („W Parku Botanicznym”) lub: *Śmierci, w miłość wierzyłem cały czas – tej nie doczekałem /.../ chodzi o to żeby z niwy poetyckiej wytopić taki grosz aby móc / zafundować sobie wielką miłość /.../ Śmierci, jeszcze raz bym chciał zobaczyć tylko oczy tej / którą młodzieńczą miłością wiecznie wielbiłem /.../ Śmierci, te chwile siwienia włosów to moje męstwo / i trybunał godności – nic się nie spełniło („Padam w grób”).**

Nie tylko pisał o śmierci, lecz czuł się na pół martwy za życia. Chciał odejść: *Każdą książkę z ręki odkładam / W tęsknocie do innego niż ziemski, nieziemskiego już świata (* * *)*. Spodziewał się w każdej chwili ostatecznego końca Ziemi i jej mieszkańców, wciąż też czuł wokół siebie zapach cmentarza. W notatkach pisał: *Czy tworzeniem uwolnię się od kompleksu, że Planetę dosięgnie zagłada? Nic mnie nie uwolni od tego największego kompleksu. Pragnę mieć pewność, że Ziemia po której stąпам, po której dane mi było stąpać, przetrwa. Przetruwa. Że życie nasze miało jakikolwiek sens. Spacerując po chodnikach miast, boję się poruszać. Planeta jest Wielkim Grobowcem rodziny ludzkiej. Otwartym Grobowcem, w którym zostało nam składanie wieńców na płycie pomników. Coraz częstszych zbiorowych grobów.*

Przekonany o swym talencie i wyjątkowości, zrażał do siebie ludzi, był coraz mniej akceptowany: *Ale przecież od początku całe środowisko i publiczność a także i poetów zawsze miałem za dno i zero (po pijanemu czy na trzeźwo)/... /- i tak pozostanę bożyszczem – zachować się mogę jak chcę i zechcę./... /Ktokolwiek z poetów opowie się przeciwko mnie, to na każdym wieczorze będę gnoił tego poetę. Prócz siebie nie widzę w Poznaniu poety, nikt nie jest godny być moim przeciwnikiem. (Z listu do Krystyny Orłow). Zamknięty w klatce swego chorego umysłu coraz bardziej oddalał się od rzeczywistego świata. Nie posiadał szacunku przyjaciół, miłości kobiety... Nie miał właściwie nic, choć bardzo skromne były jego potrzeby: *Nosi mnie, nosi / nie mogę wędrować, chcę mieć stół papierosy i wino. I łazienkę. (z pamiętnika) Zazdrościł ptakom: szczęśliwy człowiek ma Ziemię po której stąpa / gdy ja bez ziemi miejsca dramatu i widoku z okna / a mój adres ile ptak zaćwierka./.../ Czemu ptak co ćwierka nie ma dokumentów / a ma miejsce. Czas tu obecny. / czemu skała przy**

której siedzę ma miejsce a nie mam / ja który przy niej siedzę. (wiersz z listu) Podziw czytelników był mu niezbędny do tego, by pisać: *Niech się zjawi mój jeden Wielbiciel abym odnalazł zbrakły do pisania stół* - czytamy w szkicach, których sporo znajdziemy w tym tomie. Przez kilka ostatnich lat ziemskiej egzystencji Andrzej Babiński nie pisał nic nowego, zmieniał tylko w starych wierszach kilka wersów, dawał im nowe tytuły i tworzył wrażenie, że nie wypalił się jeszcze. *A bez pisania żyć nie mógł: Muszę pisać, mogę żyć bez jedzenia lecz nie bez pisania.* - pisze do Krystyny Orłow.

Wiersze i zapiski Andrzeja Babińskiego są jękiem bólu: *Jestem jak przepadły za wymurowaną ścianą, przywalony kamieniami gruzów swego sumienia. I przerażająco żywy* (z notatek); są krzykiem rozpacz, wołaniem o pomoc. Pełne cierpienia i bezradności: *Niewarta ziemio jesteś kroku mego / jednego spojrzenia we wnękę czy ścianę / (ktoś „precz odkopnął spodloną Planetę”) / A samotność tak boli że ściana / i asfalty kłękają /.../ Jaskółka wyfrunęła ze szpitala / i nie ma domu, chora, przepastna / w szczelinie / Jaskółko / niosę nad głową mękę, niosę cały / szpital konających pod schron / (bezdomność, bezdomność i bunt) („Jaskółka”). Nie doczekawszy pomocy, rozpostarł skrzydła jak jaskółka i odleciał... Skończyły się jego cierpienia. *Jeśli Cię z Twoich domów każdy dom przekreślił / A wśród bandy złodziei dość masz bycia dłużej / Glob majakiem staje czas widmem śmierci / utwierdza w wyzwoleniu bruk* (szkice).*

Wyzwoliło go betonowe nadbrzeże Warty. Jak czytamy w „Ty bądź”, który jest właściwie pożegnaniem: *Piszę w największej ciemności. Planeta jest obok. Przepraszam. / Płaciłem najwyższą cenę, cenę życia i cenę artysty... / po mnie jest przewlekły lot brzęczącej pszczoły... / Mnie już nie ma. Cofnąłem się za Planetę. Zostawiłem po sobie kilka wierszy... / Wszystkim kwiatom, które twarzą człowieczą patrzyły na mnie pospuszczałem powieki oczek na tę chwilę gdy swoje wreszcie powieki oczu zamykałem na zawsze.*

Babiński nie do końca umarł. Pozostawił po sobie wiersze, do których coraz częściej zaglądną literaturoznawcy i krytycy. Wyciągają twórczość Babińskiego na światło, choć poeta zawsze od blasku słońca wolał „światłocien”. I przywracają go życiu. Szkoda, że tak późno poznano się na jego talencie. Gdyby doceniono go wcześniej, być może Babiński byłby jeszcze wśród nas.

Andrzej Babiński, „Uwierzenie Moje”, Wydawnictwo: „Okolice Poetów”, Poznań 2000, opracowanie redakcyjne Jerzy Szatkowski.

Maria Magdalena Pocgaj

Miętowe cukierki

(wspomnienie o Zdzisławie Czwartosie)

Kiedy do mnie telefonował, jego głos brzmiał bardzo tajemniczo. Ściszał go specjalnie, nadając mu barwę nieomal radiową. Mimo woli musiałam się uśmiechnąć. I z uśmiechem wysłuchiwałam, nie wiem, który raz z rzędu, niemal szepcanych mi do ucha jego poetyckich miniatur. Podobały mi się szczególnie dwie, ta o fiołkach, zawiniętych w gazetę oraz o „łzie”, chowanej w dołku, wykopanym w ziemi przez małego chłopca, a uosabiającej ptaszka zabitego przez

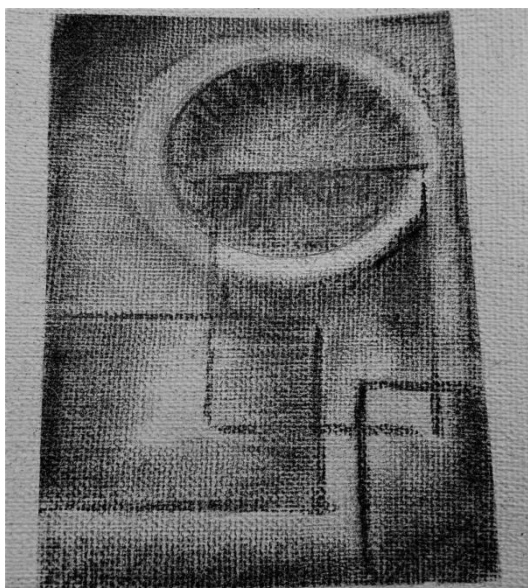
osiedlowych wyrostków. Często też snuł wspomnienia ze swego dzieciństwa, przeżywanego w czasie wojny.

Mimo słusznego wieku, ciągle miał w sobie tego „małego chłopca”, który sprawiał, że Ignęło się do jego towarzystwa. Szarmancki, uprzejmy, z wielką atencją odnosił się zwłaszcza do pań poetek, prawiąc im komplementy i to z takim wdziękiem, że od razu robiło się dookoła weselej i jaśniej. A swoją żonę, Basię, po prostu uwielbiał i razem stanowili cudowny tandem. Trudno uwierzyć, że tak po prostu zniknął z pola naszego widzenia i że już w żadnym miejscu nie będzie Go obok Basi...

O jego śmierci dowiedziałam się wczoraj, z maila od Jurka Grupińskiego. Przyznam się, że w pierwszej chwili nie dotarło do mnie znaczenie słowa „pożegnanie”. Jakie pożegnanie Czwartosa? Gdzież On się wybierał i to w pojedynkę, skoro z Basią od zawsze byli nierozłączni? Wczoraj zasypiałam z myślą o nim, modlitwa też była, ale potem już tylko samo rozmyślanie o tym, jak dobrym Zdzisław był człowiekiem, ile ciepła wnosił z sobą wszędzie tam, gdzie się pojawiał. I te jego miętowe cukierki, na każdą okazję! Czy była to inauguracja MLP, czy jubileusz kogoś z nas, czy choćby zaczynająca się Ławeczka Literacka, zawsze z konspiracyjną miną podchodził i mówił: daj rękę, po czym zaciskał ją na malutkim kształcie, owiniętym w zielony paperek. Ileż potem tych miętusków odnajdywałam – a to w kieszeni, a to w plecaku, a to... nie wiem, gdzie jeszcze...

Jakże dumny był ze swoich dzieci i wnuków. Jakże często o nich mówił, ciesząc się niepomniernie ich osiągnięciami. W gruncie rzeczy starszy pan, który błyskawicznie potrafił przedzierzgnąć się w „małego chłopca” i... pleść uroczę androny, wymyślać historyjki nie z tej ziemi, zaklinając się, że były prawdziwe. Może i były.

Tak więc, wczoraj zasypiałam z myślą o nim, o tym „małym chłopcu” z dużą wyobraźnią. Przyśniła mi się nieznana okolica, jakieś pola, łąki o zmiernym kierunku. Kierowałam się do majaczącej w zapadającym mroku, niedużej, wiejskiej chatki. Miała kilka schodków, weszłam na nie i z trudem otworzyłam drzwi do małego przedsionka, w którym akurat goście zdejmowali okrycia i przepychali się do izby. Powiesiwszy płaszcz, weszłam i ja i zobaczyłam taką scenkę: starodawna kuchnia, drewniana podłoga, kaflowy piec do gotowania, na nim poustawiane garnki, a na zydelkach siedziała rodzina z mnóstwem dzieci. Dzieci były małe, grzeczne, wszystkie miały grzywki. Goście gdzieś się rozplnęli, zostałam tylko ja i ta rodzina. W kuchni było jasnoniebiesko i przyjemnie pachniało. Na ścianach wisały starodawne szafki i inne przedwojenne precjoza. I nagle zauważyłam coś jeszcze: całe wnętrze kuchni oplecione było gałęziami. Biegły one wzdłuż jasnoniebieskich ścian, a na nich wśród liści kołysały się jabłka. Dokładnie widziałam strukturę gałęzi, odrośle, jakieś wypustki, kolory jabłek. To było żywe i jakże... piękne! Pomyślałam, że też chciałabym mieć u siebie coś takiego. Nie zdążyłam zapytać, jak zdołali tę gałąź wyhodować w czterech ścianach i obudzić ją. Nie wiem, być może był to ostatni przekaz „małego chłopca”, jako że zawsze, z ciepłością i zaciekawieniem, żeby nie powiedzieć z otwartą buzią, słuchałam tych jego niestworzonych opowiadań...



Maria Kogut

kronika rzeczy małych

Oficyna wydawnicza Biblioteka „ReWirów”,
Poznań 2024.

Friedrich von Schlegel

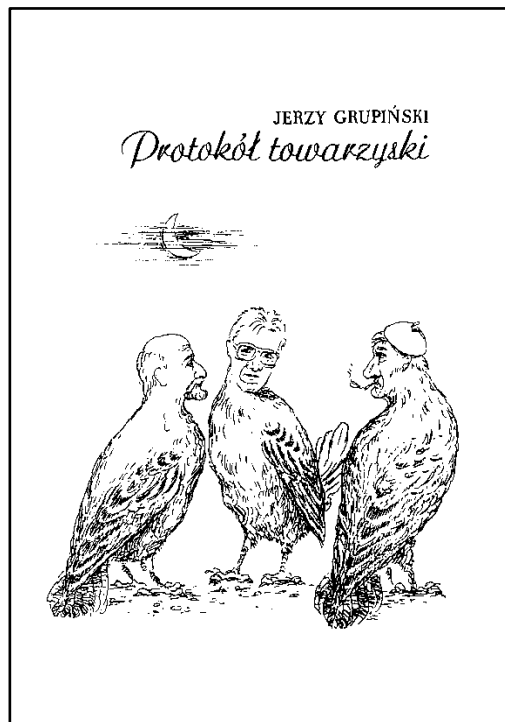
Ptaki (Die Vögel)

Tak żywo, szczęśliwie,
Kołysać i śpiewać,
Z błyszczącej wyżyny
Na ziemi spozierać!

Ci ludzie zgłupieli,
Im wlecieć świat nie dał;
I jęczą jak w celi,
My lecimy do nieba!

Owoce dziobiemy,
Myśliwy chce strzelać;
Drwić z niego musimy
I zdobycz zabierać.

przekład Karol Wapniarski



Rysunek na okładce – Chrystian Gomolec.
Sylwetki – Marek Kośmider, Jerzy Grupiński,
Andrzej Babiński, SPP, Poznań 1994.

Na stronie 1 niepublikowane dotąd zdjęcie Andrzeja
Babińskiego oraz jego wiersze z debiutanckiej
książki „Z całej siły” („Generacje” Warszawa 1975)

Zdjęcia w numerze pochodzą z archiwum Jerzego
Grupińskiego.

Wydawca – Klub Literacki „Dąbrówka”
przy Piątkowskim Centrum Kultury
Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej,
os. Bolesława Chrobrego 120, 60-681 Poznań

Redaguje Jerzy Grupiński tel. 61 2223033

e-mail jerzygrupinski@gmail.com

jsszwarcowie@wp.pl

Współpraca – Stefania Pruszyńska i Stanisław
Szwarc

Przygotowanie do druku i korekta– Stanisław
Szwarc

Druk – EuroPrint, Poznań, Pamiątkowa 19.

„Protokół” dostępny także na stronie

<https://protokolkulturalny.wordpress.com/>

(także numery archiwalne)

Autorzy przysyłający teksty do „Protokołu Kulturalnego” wyrażają zgodę na korzystanie ze swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych.

Autorzy ponoszą odpowiedzialność z tytułu naruszenia prawa spowodowanego publikacją ich materiałów.

Redakcja zastrzega sobie możliwość skracania nadesłanych materiałów oraz ew. zmian tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.